

ROBERT E. HOWARD

BOGOWIE BAL-SAGOTH

(Przełożył: Piotr W. Cholewa)

CIEMNY POSĄG

*Oto nadeszła noc nagich mieczy
I hord pogańskich malowana wieża
Pochyla się pod ciosami młotów
Pochyla i o ziemię uderza*

Chesterton

Płatki śniegu wirowały w podmuchach przenikliwego wiatru. Fale rozbijały się o dziki brzeg, a dalej, w głębi morza huczały nieustannie ich długie, ołowiane grzebienie. W szarym świetle świtu, wolno sączącego się na niebo ponad wybrzeżem Connacht, szedł powoli rybak, twardy jak ziemia, która go zrodziła. Niedbale wyprawiona skóra chroniła jego stopy, długi kaftan z jeleniego futra ledwie okrywał ciało; nie miał na sobie nic więcej. Kroczył naprzód z tępym uporem, nie zwracając uwagi na gryzące zimno, jak kosmaty zwierz, którego na pierwszy rzut oka przypominał. Nagle zatrzymał się. Drugi człowiek wynurzył się zza kurtyny śniegu i mgły. Przed rybakiem stał Turlogh Dubh.

Był prawie o głowę wyższy od krępego rybaka i miał postawę wojownika. Nie wystarczyło spojrzeć na niego przelotnie – długo wpatrywałyby się weń każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, kto by go napotkał. Turlogh Dubh miał sześć i cal wzrostu, a wrażenie, że jest chudy, jakie sprawiał na pierwszy rzut oka, mijało po dokładniejszym przyjrzeniu się. Był potężny, lecz zbudowany proporcjonalnie, o wspaniałych ramionach i szerokiej piersi. Wielki, lecz zwartej konstrukcji, łączył siłę bawołu z szybkością i giętkością pantery. Każde, najmniejsze nawet jego poruszenie cechowała niezwykła koordynacja, typowa dla wybitnego wojownika. Turlogh Dubh – Czarny Turlogh, niegdyś z klanu O’Brienów. Istotnie, miał czarne włosy i ciemną cerę, pod gęstymi, czarnymi brwiami płonęły jak wulkan błękitne oczy. W jego gładko ogolonej twarzy była posepność mrocznych gór i oceanu o północy. Tak jak rybak, on także stanowił część tej dzikiej zachodniej krainy.

Na głowie miał prosty hełm, bez przyłbicy, pióropusza czy godła. Od szyi do połowy uda chroniła go dopasowana kolczuga, zaś kilt, z szorstkiej, spłowiałej materii, który nosił pod nią, sięgał do kolan. Na nogach miał buty ze

skóry tak twardej, że mogłaby powstrzymać ostrze miecza, były jednak znoszone i wytarte przez długie wędrówki. Długi sztylet w czarnej pochwie zwisał u szerokiego pasa opinającego talię Turlogha. Na lewym ramieniu nosił niewielką okrągłą tarczę z obitego skórą, twardego jak żelazo drewna, okutą i wzmocnioną stalą, z krótkim, ciężkim szpikulcem pośrodku. W prawej dłoni trzymał topór i ku niemu właśnie biegły spojrzenia rybaka. Broń, z trzystopowym drzewcem i ostrzem o kształcie pełnym gracji, wydawała się lekka i delikatna w porównaniu z ciężkimi toporami piratów z północy. A przecież, pamiętał, trzy lata ledwie minęły od czasu, gdy takie właśnie topory zmiażdżyły północne hufce, zadając im krwawą klęskę i na zawsze krusząc pogańską moc.

Topór miał własną indywidualność, podobnie jak jego właściciel. Nie przypominał żadnego z toporów oglądanych kiedykolwiek przez rybaka. Z pojedynczym ostrzem i trójgraniastymi szpicami u góry i z tyłu, był cięższy, niż na to wyglądał, tak samo zresztą jak człowiek, który go nosił. Z lekko wygiętym drzewcem i wspaniałym ostrzem robił wrażenie broni zawodowca – szybkiej, groźnej i śmiertelnej jak kobra. Głownia była najlepszej irlandzkiej

roboty, co w owych czasach oznaczało – najlepszej w świecie. Uchwyt, wycięty ze rdzenia stuletniego dębu i specjalnie utwardzony w ogniu oraz wzmocniony stałą, niczym żelazny pręt nie dawał się złamać.

- Kim jesteś? – spytał rybak szorstkim tonem, charakterystycznym dla mieszkańców krain Zachodu.

- A kim ty jesteś, że mnie o to pytasz? – odrzekł tamten.

Wzrok rybaka powędrował ku jedynej ozdobie, jaką nosił wojownik – ciężkiej złotej bransolecie na lewym ramieniu.

- Gładko ogolony i krótko obcięty, na modłę Normanów – mruknął. – I ciemny... Musisz być Czarnym Turloghiem, wygnańcem z klanu O'Brienów. Daleko sięgasz; ostatnio, jak słyszałem, na wzgórzach Wichlow grabiłeś i O'Reillych, i Oastmanów.

- Człowiek musi coś jeść, obojętnie, czy jest wygnańcem czy nie – warknął Dalkazjanin.

Rybak wzruszył ramionami. Bezpański człowiek – to ciężki los. W systemie klanów mężczyzna, którego odepchnął własny ród, stawał się niby umykający przed zemstą syn Izmael. Wszystkie ręce podnosiły się przeciw

niemu. Rybak słyszał o Turloghu Dubhu – niezwykłym, zgorzkniałym człowieku, strasznym wojowniku i zdolnym strategu, którego jednak nagle wybuchy dziwnego szaleństwa naznaczyły piętnem nawet w tym kraju i w tych czasach sprzyjających szaleństwu.

- Marny dziś dzień – stwierdził rybak nieco nie na temat.

Turlogh posępnie przypatrywał się jego splątanej brodzie i dziko zwichrzonym włosom.

- Czy masz łódź?

Tamten skinął głową w stronę niewielkiej, osłoniętej od wiatru zatoczki. Bezpiecznie zakotwiczona, stała tam łódź, zbudowana z kunsztem wypracowanym przez setki pokoleń ludzi, którzy swą egzystencję zawdzięczali groźnemu morzu.

- Nie wygląda na zdatną do żeglugi – ocenił Turlogh.

- Nie wygląda? Ty, urodzony i wychowany na zachodnim wybrzeżu, powinienes poznać się na niej od razu! Przepląnąłem nią samotnie do Zatoki Drumcliff i z powrotem, kiedy wszystkie demony wichru starały się rozerwać ją na strzępy!

- Nie da się łowić ryb przy takiej pogodzie.

- Czy wydaje ci się, że to tylko wy, wodzowie, odczuwacie radość narażając skórę? Na wszystkich świętych, żeglowałem w sztormie do Ballinskellings i z powrotem dla samej tylko przyjemności.

- To mi wystarczy – stwierdził Turlogh. – Biorę tę łódź.

- Diabła możesz sobie wziąć! Co to za gadanie? Jeżeli chcesz opuścić Erin, to jedź do Dublina i załaduj się na statek swoich duńskich przyjaciół.

- Zabijałem ludzi za mniej obraźliwe słowa – ostre spojrzenie zmieniło twarz Turlogha w groźną maskę.

- A nie intrygowałeś z Duńczykami? I czy nie dlatego twój klan wygnał cię, żebyś zdechł z głodu na wrzosowiskach?

- Zazdrość kuzyna i gniew kobiety – warknął wojownik. – Kłamstwa, same kłamstwa. Dość jednak o tym. Czy w ciągu ostatnich kilku dni nie dostrzegłeś długiego węża pędzonego wiosłami od południa?

- Tak... trzy dni temu widzieliśmy płynące z wiatrem łódź ze smokiem na dziobie. Nie przybiła do brzegu. Doprawdy, niczego prócz solidnych cięgów nie mogą oczekiwać ci piraci od rybaków Zachodu.

- To był pewnie Thorfel Piękny – mruknął Turlogh i zakołysał toporem. – Wiedziałem o tym.

- Czy piraci zrabowali coś na południu?

- Banda rabusiów zaatakowała nocą zamek na Kilbaha. Była bitwa i ci zbóje porwali Moirę, córkę Murtagha, wodza Dalkazjan.

- Słyszałem o niej – stwierdził rybak. – Teraz na południu zaczną ostrzyć miecze i orać czerwone morze krwi, nieprawdaż, mój czarny klejnocie?

- Jej brat, Dermond, nie może się ruszyć po cięciu mieczem w stopę. MacMurroughowie najeżdżają ziemię jej klanu od wschodu, O’Connorowie od północy. Niewielu ludzi można oderwać od obrony – klan walczy o przeżycie. Grunt Erinu trzęsie się pod dalkazjańskim tronem od czasu, gdy zginął wielki Brian. Mimo wszystko Cormac O’Brien ruszył w pościg za porywaczami, lecz płynie tropem dzikich ptaków, gdyż sądzi, że napastnikami byli Duńczycy z Coningbegu. No cóż, my, wygnańcy, mamy własne sposoby zdobywania informacji – to był Thorfel Piękny, co włada wyspą Slyne, zwaną przez wikingów Helni, na Hebrydach. Tam ją zabrał i tam za nim wyruszę. Pożycz mi swojej łodzi.

- Oszalałeś! – zakrzyknął rybak. – O czym ty mówisz? Z Connacht na Hybrydy w otwartej łodzi? W taką pogodę? Wiedziałem, że jesteś obłąkany.

- Postaram się tego dokonać – odparł roztargnionym głosem Turlogh. – Pożyczysz mi łodzi?

- Nie.

- Mógłbym cię zabić i zabrać ją.

- Mógłbyś – potwierdził spokojnie rybak.

- Ty brudna świnio! – warknął banita wpadając w gniew. – Księżniczka Erinu omdlewa w łapach rudobrodego zbója z północy, a ty targujesz się jak Sas.

- Człowieku, przecież muszę żyć! – krzyknął rybak z nie mniejszym wzburzeniem. – Zabierzesz mi łódź i będę głodował. Gdzie znajdę drugą taką? Jest najlepsza w swoim rodzaju.

Turlogh sięgnął do połyskującej na jego ramieniu bransolety.

- Zapłacę ci. Oto obręcz, którą przed bitwą pod Clontarf król Brian nałożył mi własną ręką. Weź ją, kupisz za nią setkę łodzi. Konałem z głodu mając ją na ramieniu, lecz teraz, w ostatecznej potrzebie...

Rybak pokręcił głową. W jego oczach lśnił żar.

- Nie. Moja chata nie jest miejscem dla bransolety, której dotykały ręce króla Briana. Zatrzymaj ją... i zabierz łódź w imię wszystkich świętych, jeśli znaczą oni dla ciebie cokolwiek.

- Dostaniesz ją z powrotem, kiedy wrócę – przyrzekł Turlogh. – A może na dodatek jeszcze złoty łańcuch, który teraz zwisa z byczego karku jakiegoś pirata z północy.

Dzień był szary i posepny. Wył wiatr, a nieustający monotonny szum morza rodził zgryzotę w ludzkich sercach. Rybak stał wśród skał i patrzył na kruchą łódź. Jej szlak niby wąż wił się między głazami, póki nie uderzyła w nią potęga otwartego morza, która niczym piórko uniosła ją do góry. Podmuch targnął żaglem i smukła łódka skoczyła do przodu, zachwiała się, wyprostowała i pomknęła z wiatrem. Malą w oczach, aż zmieniła się w maleńki tańczący na falach punkcik. Potem zadymka śnieżna zakryła ją przed wzrokiem patrzącego.

Turlogh po części zdawał sobie sprawę z trudności tego szalonego przedsięwzięcia. Wychowany był jednak dla walki z niebezpieczeństwami. Zimno, lód, zacinający śnieg z deszczem, które zmroziłyby kogoś słabszego, jego pobudzały tylko do większych wysiłków. Był twardy i

giętki jednocześnie, jak wilk. Wyróżniał się nawet między tymi, których wytrzymałość zadziwiała najbardziej zahartowanych wikingów. Kiedy był dzieckiem, rzucono go w śnieżną zawieję, by sprawdzić, czy ma prawo do życia. Dzieciństwo i lat chłopięce spędził w górach, na wybrzeżu i wśród zachodnich wrzosowisk. Póki nie osiągnął wieku męskiego, nie miał na sobie nigdy żadnej tkaniny. Wilcza skóra była jedynym okryciem syna wodza Dalkazjan. Zanim go wygnano, potrafił zmęczyć konia biegnąc obok niego przez cały dzień. Pływania nigdy nie miał dosyć. Teraz, gdy intrygi zazdrosnych krewniaków wyгнаły go na odludzie, stał się tak zahartowany, że cywilizowany człowiek nie byłby w stanie tego pojąć.

Śnieg przestał padać, pogoda poprawiła się, lecz wiatr wiał ciągle. Turlogh z konieczności trzymał się blisko brzegu, manewrując wśród raf, na które – zdawało się – lada chwila wpadnie jego łódź. Bez odpoczynku pracował przy żaglu, rumplu i wiosle. Nawet jeden człowiek morza na tysiąc nie dokonałby tego, co udawało się Turloghowi. Nie wypuszczając steru pożywiał się ze skromnych zapasów, w które zaopatrzył go rybak. Zanim jeszcze dostrzegł Malin Head, wypogodziło się wspaniale. Morze

ciągle było wzburzone, lecz wiatr osłabł i tylko mocna bryza pchała teraz łódź do przodu. Dnie i noce zlewały się z sobą; Turlogh płynął na wschód. Raz przybił do brzegu, by nabrać świeżej wody i przespać się kilka godzin. Siedząc przy sterze myślał o ostatnich słowach rybaka: „Dlaczego chcesz narażać życie dla klanu, który naznaczył cenę na twoją głowę? ”

Wzruszył ramionami. Krew gęściejsza jest niż woda. Naga prawda o tym, że jego lud wypędził go, by jak ścigany wilk zginął pośród wrzosowisk, nie zmieniała faktu, że był to jego lud. Mała Moira, córka Murtagha i Kilbahy, niczym nie zawiniła. Pamiętał ją dobrze. Często bawili się razem, gdy on był wyrostkiem, a ona dzieckiem jeszcze. Pamiętał jej ciemnoszare oczy, lśniące czarne włosy, piękną cerę. Już jako dziecko była niezwykle piękna – właściwie wciąż jeszcze była dzieckiem, gdyż on, Turlogh, był młody, choć o wiele lat od niej starszy. A teraz płynęła na północ, by wbrew swej woli stać się oblubienicą norweskiego zbója. Thorfel Piękny... Turlogh przeklął go imieniem bogów, którzy nie znali znaku krzyża. Przed oczyma falowała mu czerwona mgła, morze nabrało barwy karmazynu. Irlandzka dziewczyna branką

w skalli norweskiego pirata... Gwałtownym ruchem steru Turlogh skierował łódź na otwarte morze. W jego oczach pojawił się błysk szaleństwa.

Długi jest szlak, który wybrał Turlogh z Malin Head do Helni wprost przez spienione fale. Zmierzał ku małej wysepce, która podobnie jak wiele innych małych wysepek leżała pomiędzy Mull a Hebrydami. Nawet współczesny żeglarz, wyposażony w kompas i mapę, miałby trudności z jej odszukaniem. Turlogh ich nie miał. Płynął tak, jak podpowiadały mu wiedza i instynkt. Znał te wody jak swój własny dom, żeglował po nich jako pirat i jako mściciel, a raz nawet jako jeniec, przywiązany do pokładu smoczej łodzi.

Podążał ciepłym jeszcze tropem. Dymy snujące się nad brzegiem, dryfujące szczątki, kawałki spalonego drewna świadczyły, że Thorfel w podróży nie rezygnował z rabunków. Turlogh warknął z dziką satysfakcją – mimo sporego opóźnienia był blisko wikinga. Tamten bowiem palił i rabował brzegi po drodze, Turlogh zaś płynął kursem prostym niczym lot strzały.

Był jeszcze daleko od Heleni, gdy dostrzegł maleńką wysepkę, leżącą nieco w bok od kursu. Znał ją od dawna.

Była bezludna, mógł nieco w bok od kursu. Znał ją od dawna. Była bezludna, mógł jednak zaleźć na niej wodę. Skierował ku niej łódź. Nazywano ją Wyspą Mieczy, nikt właściwie nie wiedział dlaczego. Gdy zbliżył się do plaży, zauważył coś, co rozpoznał od razu. Dwie łodzie wyciągnięte były na piasek; jedna, toporna, podobna do tej, którą płynął, choć znacznie większa; druga, długa i niska, bez wątpienia należała do wikingów. Obie były puste. Turlogh nasłuchiwał przez chwilę, oczekując szczęku broni i bitewnych okrzyków. Panowała jednak niczym nie zmacona cisza. Rybacy ze szkockich wysp, pomyślał. Banda piratów wypatrzyła ich z morza albo z innej wyspy i ściagała długim, wiosłowym statkiem. Pościg potrwał dłużej, niż tego oczekiwali – nie wyruszyliby na pełne morze w otwartej łodzi. Rozpaleni żądzą mordu rabusie potrafili jednak gnać za swymi ofiarami po wzburzonym morzu przez steki mil nawet taką łodzią, jeśli było to konieczne.

Turlogh podpłynął do brzegu, wyrzucił za burtę kamień służący mu za kotwicę i trzymając topór w pogotowiu wyskoczył na piasek. Niedaleko dostrzegł dziwne skupisko podejrzanych kształtów. Kilka susów – i

stał twarzą w twarz z tajemnicą. Piętnastu rudobrodych Duńczyków leżało nierównym kręgiem w kałużach własnej krwi. Żaden z nich nie oddychał. Wewnątrz tego kręgu, przemieszane z ciałami piratów, leżały inne ciała, ciała ludzi, jakich Turlogh nie spotkał jeszcze nigdy. Niewysocy, o bardzo ciemnej skórze; ich zaszklone śmiercią oczy były czarniejsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu oglądał. Słabo byli uzbrojeni. Martwe, zeszywniałe dłonie ścisnęły jeszcze wyszczerbione miecze i sztylety. Tu i tam leżały strzały, połamane o napierśniki Duńczyków, i Turlogh zauważył, zdumiony, że wiele z nich miało przemienne groty.

- To była zacięta walka – mruknął. – Nieczęsto zdarza się taki bój. Kim są ci ludzie? Na żadnej z wysp nie spotkałem podobnych. Siedmiu... to wszyscy? Gdzie są ich towarzysze, którzy pomogli im wytluc tych wikingów?

Żadne ślady nie odchodziły od tego krwawego miejsca. Czoło Turlogha pociemniało.

- To wszyscy. Siedmiu przeciw piętnastu, a jednak mordercy zginęli wraz z ofiarami. Cóż to za ludzie, którzy potrafili wybić dwakroć więcej piratów? Nie są potężni, ich broń jest nędzna, a przecież...

Zastanowiło go coś innego. Dlaczego obcy nie rozbiegli się i nie uciekli, by skryć się wśród drzew? Pomyślał, że zna odpowiedź. W samym środku martwego kręgu leżało coś niezwykłego: posąg z jakiejś ciemnej materii, przedstawiający człowieka. Długi czy raczej wysoki na jakieś pięć stóp, tak przypominał żywą istotę, że Turlogh zdumiał się. Wsparty o figurę, leżał trup starego człowieka, posiekany tak, że niemal nie przypominał ludzkiego ciała. Jedna chuda ręka starca obejmowała statuetkę, dłoń drugiej ścisnęła jeszcze sztylet, po rękojeść wbity w pierś Duńczyka. Turlogh obejrzał straszliwe rany, które tak zniekształciły ciemnoskórego mężczyznę. Tak, pomyślał, trudno było ich zabić; walczyli, póki nie zostali dosłownie porąbani na kawałki. Konając nieśli jeszcze śmierć swoim zabójcom. Tyle wywnioskował z tego, co zobaczył. Straszliwa zawziętość malowała się na smagłych martwych twarzach. Przyjrzał się martwym dłoniom, ciągle jeszcze wplątanych w brody wrogów. Jeden z obcych leżał pod trupem potężnego wikinga, na którego ciele Turlogh nie zauważył żadnych ran – póki nie podszedł bliżej i nie dostrzegł zębów ciemnoskórego mężczyzny,

niby kły drapieżcy zatopionych w potężnym gardle przeciwnika.

Pochylił się i wyciągnął spod ciał figurę. Ramię starca trzymało ją mocno – musiał użyć całej swej siły, by je oderwać. Wydawało się, że nawet po śmierci broni on swego skarbu; Turlogh czuł bowiem, że to za ten wizerunek oddali życie niewysocy mężczyźni o ciemnej skórze. Mogli rozproszyć się i ukryć przed wrogiem, lecz oznaczałoby to oddanie posągu w ręce piratów. Woleli więc zginąć obok niego.

Turlogh potrząsnął głową. Jego nienawiść do wikingów, dziedzictwo wielu krzywd i zniewag, była żywa, płonąca, obsesyjna niemal i prowadząca czasem do szaleństwa. W jego dzikim sercu nie było miejsca na litość – widok leżących u jego stóp Duńczyków napełniał go okrutną radością. A przecież w tych cichych, martwych ludziach wyczuwał silniejszą od własnej namiętność, bodziec sięgający głębiej niż jego nienawiść. Głębiej – i dalej w przeszłość. Ci niewysocy mężczyźni wydali mu się starzy; nie w sposób, w jaki może być stary człowiek, lecz w taki, w jaki bywa stara cała rasa. Nawet ich martwe ciała wydzielały nieuchwytną, pierwotną aurę. A posąg...

Celt pochylił się i chwycił figurę, aby ją podnieść. Spodziewał się wielkiego ciężaru i stanął zadziwiony – statua nie była cięższa, niż gdyby wykonano ją z lekkiego drzewa. Postukał w nią – odgłos nie był głuchy. Myślał z początku, że jest z żelaza, później osądził, że to jednak kamień; lecz kamień, jakiego jeszcze nie spotkał. Wiedział, że nie znajdzie takiego nigdzie na Wyspach Brytyjskich ani gdziekolwiek w znanym mu świecie, bowiem, tak jak zabici, posąg wydawał się stary. Gładki i nie pokruszony, wyglądał, jakby wyrzeźbiono go wczoraj, lecz mimo to był symbolem dalekiej przeszłości – Turlogh wiedział o tym. Przedstawiał mężczyznę bardzo podobnego do tych niewysokich wojowników. Była jednak między nimi jakaś subtelna różnica. Czuło się, że jest to obraz człowieka, który żył dawno temu, gdyż nieznany rzeźbiarz bez wątpienia korzystał z żywego modelu. I zdołał tchnąć życie w swoje dzieło. Szerokie bary, pierś, potężne mięśnie ramion – sylwetka najoczywiściej wyrażała siłę. Mocno zarysowana szczęka, regularny nos, wysokie czoło wskazywały na potężny intelekt, wielką odwagę, nieugiętą wolę. Ten człowiek na pewno był królem, pomyślał Turogh. Albo bogiem. A przecież nie nosił korony;

jedynym jego strojem było coś w rodzaju przepaski biodrowej, wyrzeźbionej z taką precyzją, że widoczna była każda najmniejsza nawet fałda czy zmarszczka.

To był ich bóg, dumał Turlogh rozglądając się wokół siebie; uciekali przed Duńczykami, ale w końcu polegli za swego boga. Kim są ci ludzie? Skąd przybyli? Dokąd zmierzali?

Stał wsparty o swój topór i dziwne uczucia pojawiały się w jego duszy. Otworzyły się przed nim przepastne otchłanie czasu i przestrzeni. Widział niezwykle, nie mające końca i wiecznie płynące ludzkie fale, narastające i cofające się niby morski przypyływ. Życie był jak drzwi, otwarte pomiędzy dwoma obcymi, mrocznymi światami. Ileż ludzkich ras, ich nadziei i lęków, miłości i nienawiści przeszło przez te drzwi w swojej wędrówce z ciemności w ciemność? Turlogh westchnął. Gdzieś głęboko budził się w nim mistyczny smutek Celtów.

- Kiedyś byłeś królem, Ciemny Posągu – powiedział do milczącego wizerunku. – A może byłeś bogiem i władałeś całym światem. Twój lud przeminął, jak i mój przemija. Byłeś pewnie władcą Ludu Krzemienia, rasy, którą zniszczyli moi celtyccy przodkowie. Tak, mieliśmy

swoje dni, lecz teraz i my odchodzimy. Ci Duńczycy, co leżą u twych stóp... dziś są zdobywcami. Muszą mieć swoje dni, ale i oni przeminą. Ty jednak wyruszysz ze mną, Ciemny Posągu, czy królem jesteś, bogiem czy diabłem. Wydaje mi się, że przyniesiesz mi szczęście, a będę go potrzebował, kiedy dotrę do Helni.

Starannie umocował statwę na dziobie swej łodzi. Znowu wyruszył na morze. Niebo poszarzało, zaczął padać śnieg – drobne, boleśnie kłujące kryształki. Szare fale niosły kawały lodu, wicher z wyciem uderzał w odkrytą łódź. Turlogh nie czuł lęku. Łódź płynęła, jak nigdy dotąd. Śmigiała poprzez tumany śniegu i Dalkazjaninowi zdawało się, że to Ciemny Posąg udziela mu pomocy. Bez nadnaturalnej opieki byłby z pewnością po stokroć zgubiony. Wysiłał całą swą sztukę żeglarską i miał uczucie, jakby niewidzialna ręka trzymała rumpel, ciągnęła wiosło, jakby większy od ludzkiego kunszt wspomagał go przy stawianiu żagla.

Potem cały świat skrył się za białą zasłoną i nawet celtyckie wyczucie kierunku zawiodło Turlogha. Wydawało mu się, że steruje według wskazówek cichego głosu, który do niego dociera gdzieś spoza granic

świadomości. Nie zaskoczyło go, że kiedy śnieg przestał padać i chmury odsłoniły srebrzysty zimny księżyc, dostrzegł wznoszący się przed dziobem ląd, w którym poznał wyspę Helni. Więcej, wiedział, że tuż za przylądkiem znajdzie zatokę, w której Thorfel, gdy nie wyruszał w morze, cumował swą smoczą łódź. Sto jardów dalej stała skalli wikinga. Turlogh zaśmiał się dziko. Gdyby nawet mógł wykorzystać sztukę żeglarską całego świata, nie zdołałby trafić w to właśnie miejsce – to było po prostu szczęście... nie, coś więcej niż szczęście. To właśnie było miejsce najlepsze z możliwych, aby podpłynąć do brzegu, położone o niecałe pół mili od siedziby wroga i ukryte przed ludzkimi oczyma za wystającym cyplem. Celt spojrział na nieodgadniony, jakby zadumany Ciemny Posąg. Miał dziwną pewność, że wszystko to było dziełem tej figury, a on, Turlogh, jest tylko pionkiem w jej grze. Kim była ta postać? Jakie mroczne sekrety oglądały rzeźbione oczy? Dlaczego z takim poświęceniem walczyli o nią ciemnoskórzy, niewysocy wojownicy?

Turlogh skierował łódź ku brzegowi, do maleńkiej zatoczki. Rzucił kotwicę i wyskoczył na ląd. Ostatni raz obejrzał się na pogrążony w zadumie Ciemny Posąg i

ruszył spiesznie po zboczu cypla, starając się trzymać w ukryciu. Na szczycie rozejrzał się. Niecałe pół mili od niego stała na kotwicy smocza łódź Thorfela. Dalej zobaczył jego skalli: długi niski budynek z grubo ociosanych belek. Jasne światło świadczyło o płonących wewnątrz ogniach. W nieruchomym mroźnym powietrzu wyraźnie słyhać było odgłosy uczty. Turlogh zacisnął zęby. Uczta! Ucztują na cześć ruin i zniszczeń, których dokonali, domów zmienionych w dymiące zgliszcza, pomordowanych mężczyzn, zgwałconych dziewcząt. Tak, ci wikingowie byli panami świata. Wszystkie kraje południa stały przed nimi otworem, a ich mieszkańcy żyli po to, by dostarczać im rozrywki – i niewolników. Turlogh zadrżał gwałtownie, jakby przejęty nagłym chłodem. Żądza krwi dokuczała mu jak fizyczny ból, lecz stłumił w sobie tę namiętność, która mgłą zasnuwała mu umysł. Przybył tu nie po to, by walczyć, ale by porwać im dziewczynę, którą oni porwali.

Baczenie, niczym generał przygotowujący plan kampanii, zlustrował teren. Zauważył drzewa tuż za skalli, rosnące gęsto. Mniejsze domy – skład i chaty służby – stały pomiędzy głównym budynkiem a zatoką. Na brzegu płonęło wielkie ognisko, przy którym piło i śpiewało kilku

wojowników, choć przejmujące zimno sprawiło, że większość z nich schroniła się w wielkiej sali głównego budynku.

Turlogh poczołgał się w dół porośniętym gęsto zboczem. Kierował się do lasu, który szerokim łukiem zbliżał się do brzegu. Trzymał się granicy cienia drzew. Szedł do skalli okrężną drogą, bo lękał się zbyt śmiało wchodzić na otwarty teren, by nie wypatrzyli go wartownicy, których Thorfel z pewnością wystawił. Na Boga, gdybyż miał z sobą wojowników z Clare, jak za dawnych dni! Nie musiałby skradać się między drzewami jak wilk! Żelaznym chwytem ujął drzewce broni, wyobrażając sobie tę scenę: atak, krzyki, płynąca strumieniami krew, szczęk dalkazjańskich toporów... Westchnął ciężko. Jest wygnańcem. Nigdy już nie powiedzie wojowników swego klanu do bitwy.

Runął nagle w śnieg i legł bez ruchu, ukryty za niskim krzakiem. Jacyś ludzie nadchodzili z tej samej strony, z której on tu przybył. Sapali głośno i ciężko tupali. Wkrótce ich zobaczył: dwóch potężnych wikingów w błyszczących w świetle księżyca pancerzach ze srebrnych łusek. Nieśli coś z dużym wysiłkiem. Turlogh, ku swemu zdumieniu,

rozpoznał Ciemny Posąg. Pomyślał, że znaleźli jego łódź, ale niepokój, jaki odczuł z tego powodu, został stłumiony przez zdziwienie. Ci wikingowie byli olbrzymami o stalowych mięśniach, a mimo to zataczali się pod przytłaczającym ich ciężarem. Ciemny Posąg ważył chyba w ich rękach setki funtów, a przecież Turlogh sam jeden uniósł go jak piórko. Niewiele brakowało, by zaklął ze zdumienia. Zresztą ci dwaj na pewno byli pijani.

- Połóżmy to – wysapał jeden z nich. – Na śmierć Thora, to waży tonę! Musimy odpocząć.

Drugi wiking burknął coś niewyraźnie w odpowiedzi i obaj zaczęli opuszczać statwę na ziemię. Nagle jednemu z nich ześlizgnęła się dłoń i Ciemny Posąg ciężko runął w śnieg. Wiking, który przedtem proponował odpoczynek, zawył.

- Ty durna niezdaro! Upuściłeś mi go na nogę! Niech cię diabli, mam strzaskaną kostkę!

- Wyrwał mi się z ręki! On żyje, mówię ci, on jest żywy!

- To go zabiję! – warknął okulały wiking i wyciągnawszy miecz uderzył z całej siły leżącą figurę.

Iskry się sypnęły, gdy ostrze roztrysnęło się na sto kawałków. Norweg jęknął z bólu, bo stalowa drzazga rozcięła mu policzek.

- Diabeł w nim siedzi! – krzyknął odrzucając rękojeść miecza. – Nawet go nie zadrapałem. Bierz go! Idziemy do Sali piwnej i niech Thorfel sam sobie z nim radzi.

- Niech tu leży – burknął jego towarzysz ocierając spływającą po twarzy krew. – Krwawię jak zarzynany wieprzek. Wracajmy. Powiemy Thorfelowi, że nikt nie kradnie łodzi z wyspy. Przecież po to nas posłał na cypel.

- A co z łodzią, w której znaleźliśmy tego tu? Może to jakiś szkocki rybak, którego burza zepchnęła z kursu. Pewnie się chowa teraz w lesie jak szczur. No, łap go za rękę. Czy to bożek, czy diabeł, nieśmy go do Thorfela.

Sapiąc z wysiłku ponownie unieśli posąg i ruszyli wolno; jeden kulał jęcząc i przeklinając, drugi od czasu do czasu potrząsał głową, kiedy krew zalewała mu oczy.

Turlogh wstał cicho i spojrział za nimi. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Każdy z tych dwóch mężczyzn był tak samo silny jak on, a przecież niesienie przedmiotu, z którym on radził sobie z łatwością, od nich wymagało

krańcowego wysiłku. Zdziwiony, pokręcił głową i ruszył dalej.

Dotarł wreszcie do miejsca wśród drzew, skąd najbliżej było do skalli. Zbliżał się decydujący moment: musiał w jakiś sposób dotrzeć do budynku i ukryć się w nim niepostrzeżenie. Na niebie zbierały się chmury. Odczekał, aż jedna z nich przesłoni księżyc, i w mroku, skulony, przebiegł przez śnieżną płaszczyznę szybko i bezszelestnie jak cień cienia. Krzyki i śpiewy dobiegające z wnętrza ogłuszały go. Starając się niemal przylgnąć do nierównych belek zbliżał się do węgła. Piraci z pewnością nie byli zbyt czujni. Czyż Thorfel mógł spodziewać się nieprzyjaciół? Żył w przyjaźni ze wszystkimi rozbójnikami północy, a przecież nikt inny nie wyruszyłby w taką noc w morze.

Niby cień wśród mroków skradał się Turlogh wokół domu. Dostrzegł boczne wejście i zbliżył się do niego. Natychmiast jednak cofnął się i przywarł do ściany. Wewnątrz ktoś majstrował przy skoblu. W chwilę później drzwi otworzyły się gwałtownie, wyszedł potężny wojownik i zamknął je ze sobą. Potem dopiero zobaczył Turlogha. Otworzył usta do krzyku, lecz w tej samej chwili dłoń

Celta z mocą stalowego imadła zacisnęła się na jego gardle. Groźny okrzyk zamarł zduszony. Wiking jedną ręką chwycił napastnika za nadgarstek, drugą zaś wyrwał mu sztylet i pchnął od dołu. Był już jednak nieprzytomny; ostrze zadzwoniło tylko cicho o kolczugę Dalkazjanina i broń upadła w śnieg. Norweg osunął się bezwładnie. Żelazny, morderczy chwyt dosłownie zmiażdżył mu krtań. Turlogh puścił ciało i nim znowu odwrócił się w stronę drzwi, plunął pogardliwie w martwą twarz.

Drzwi zwisały nieco i skobel nie zaskoczył. Turlogh zajrzał ostrożnie do wnętrza. W zastawionej beczkami piwa izbie nie było nikogo. Wszedł bezszelestnie i przytknął drzwi, nie zatrzaszukując ich jednak. Pomyślał, że warto by ukryć gdzieś zwłoki ofiary, lecz nie miał pojęcia, jak to zrobić. Musiał zaufać swojemu szczęściu i wierzyć, że w głębokim śniegu nikt nie zauważy trupa. Przeszedł przez pokój i znalazł się w następnym, przylegającym do ściany zewnętrznej. To także był magazyn, ale pusty. Otwór w ścianie, bez drzwi, a tylko przesłonięty skórzaną płachtą, prowadził do głównej sali, jak się domyślił, słysząc dobiegające stamtąd odgłosy. Podszedł bliżej i zajrzał ostrożnie.

Miał przed oczyma wielką komnatę, służącą panu skalli za salę bankietową, pokój rady i pomieszczenie mieszkalne. To pomieszczenie, z poczerniałymi od dymu krokwiemi, ogniem huczącym w paleniskach i suto zastawionymi stołami, było tej mocy sceną straszliwej hulanki. Potężni wojownicy o złotych brodach i dzikich spojrzeniach siedzieli lub leżeli rozparci na ławach z surowego drzewa, przechadzali się lub wyciągali na podłodze. Pili spienione piwo z rogów i skórzanych bukłaków i objadali się pajdami żytniego chleba oraz kawałkami mięsa, które odcinali nożami z pieczonych w całości udźców. Panowało tu dziwne pomieszanie kultur; z barbarzyńskim wyglądem tych ludzi, z ich prymitywnymi pieśniami i okrzykami kontrastowały wiszące na ścianach cenne łupy, dowodzące wysoko rozwiniętej cywilizacji ich twórców. Były tu wspaniałe kobierce, tkane przez kobiety Normanów, bogato zdobiona broń, noszona przez książęta Francji i Hiszpanii, zbroje i bogate szaty Bizancjum i Orientu, gdyż tak daleko docierały smocze łodzie. Między nimi umieszczono trofea myśliwskie na dowód, że wikingowie radzą sobie ze zwierzętami równie dobrze jak z ludźmi.

Współczesny człowiek z trudem potrafiłby zrozumieć uczucia, jakie wobec tych ludzi żywił Turlogh O'Brien. Byli dla niego diabłami, wilkołakami, żyjącymi na północy wyłącznie po to, by napadać na spokojne ludy południa. Cały świat zdany był na ich łaskę, mogli brać i wybierać, niszczyć lub oszczędzać życie, zależnie od swych barbarzyńskich zachcianek. Krew tętniła Turloghowi w skroniach. Nienawidził – tak jak tylko Celt potrafi nienawidzić – ich wielkopańskiej ignorancji, ich buty, ich siły, ich pogardy dla wszystkich innych ras, ich srogich posępnych oczu; nade wszystko nienawidził tych oczu, z groźbą i szyderstwem spoglądających na świat. Celtowie także byli okrutni, miewali jednak chwile czułości i uczucia. W sercach wikingów nie było żadnych uczuć.

Dla Turlogha widok tej uczty był jak uderzenie w twarz. Jednego tylko trzeba mu jeszcze było, by dopełniło się jego szaleństwo. I oto zobaczył. U szczytu stołu siedział Thorfel Piękny, młody, przystojny, arogancki, zarumieniony od wina i dumy. Istotnie, przystojny był ten młody pirat. Budową przypominała nieco Turlogha, choć był od niego potężniejszy. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. O ile Turlogh miał karnację zdumiewająco

ciemną pośród smagłego ludu, o tyle Thorfel był wyjątkowym blondynem wśród ludzi o jasnej cerze. Jego włosy i wąsy były niby czyste złoto, jasnoszare oczy skrzyły się. Obok niego... Turlogh zacisnął pięści, aż paznokcie przebiły mu skórę.

Moira z O'Brienów wydawała się zupełnie nie na swoim miejscu pośród jasnowłosych olbrzymów i mocno zbudowanych kobiet. Była delikatna, krucha niemalże, jej ciemne włosy połyskiwały brązem. Jedynie cerę miała białą jak oni, lecz z delikatnym różowym odcieniem, jakim najpiękniejsze ich kobiety nie mogły się pochwalić. Jej pełne wargi były blade ze strachu, kiedy tak siedziała skulona wśród zgiełku i hałasu. Turlogh widział wyraźnie, jak zadrżała, gdy Thorfel zuchwale objął ją ramieniem. Wielka sala zafalowała mu przed oczami, przesłonięta czerwoną mgłą. Z olbrzymim wysiłkiem zapanował nad sobą.

- Osric, brat Thorfela, po jego prawicy – mruknął do siebie. – Z drugiej strony Tostig, Duńczyk, który, jak powiadają, może rozciąć wołu jednym ciosem swego miecza. A tam siedzą Halfgar, Sweyn, Oswick i Athelstane

Sas, jedyny człowiek w tym wilczym stadzie. I... do diabła... co to znaczy? Książdz?

Istotnie, był to książdz; blady i nieruchomy pośród zgiełku biesiady, w milczeniu przesuwiał w palcach paciorki różańca. Jego pełne współczucia spojrzenie biegło ku szczupłej irlandzkiej dziewczynie siedzącej u szczytu stołu. A potem Turlogh dojrzał jeszcze coś. Na mniejszym, bocznym stole, którego bogate ozdoby świadczyły, że zrabowano go gdzieś daleko na południu, stał Ciemny Posąg. Widocznie dwaj pokaleczeni wikingowie donieśli go w końcu. Jego widok zdziwił Turlogha i ochłodził jego wrzący umysł. Tylko na pięć stóp wysoki? Teraz wydawał się o wiele większy. Niby bóg wznosił się nad ucztującymi, zadumany nad sprawami mrocznymi i głębokimi, przekraczającymi zdolność pojmowania ludzkich insektów, kłębiących się u jego stóp. Jak zawsze, gdy spoglądał na Ciemny Posąg, tak i teraz otworzyła się przed Turloghem brama wiodąca w zewnętrzne przestrzenie, na wiatr wiejący wśród gwiazd. Czeka...czeka... na kogo? Być może jego rzeźbione oczy widzą poprzez ściany skalli, poprzez śnieżne pustkowie, poprzez cypel... Może te niewidzące oczy dostrzegły już pięć łodzi, sunących

bezglśnie przez ciemne, spokojne wody. Turlogh jednak nie wiedział nic ani o łodziach, ani o wioślarzach – niewysokich, ciemnoskórych mężczyznach o nieodgadnionych spojrzeniach.

- Hej, przyjaciele! – głos Thorfela przebił się przez wrzawę. Ucichli wszyscy i spojrzeli na niego. Młody król morza wstał. – Dziś w nocy – wrzasnął – biorę sobie żonę!

Entuzjastyczny wrzask zatrzęsł poczerńiałymi od dymu krokwiemi. Turlogh zaklął w bezsilnej wściekłości.

Thorfel chwycił Moirę i z niezdarną delikatnością posadził na stole.

- Czy nie nadaje się na żonę wikinga? – krzyknął. – To prawda, jest trochę wstydliva, ale to przecież naturalne.

- Wszyscy Irlandczycy to tchórze! – wrzasnął Oswick.

- Co widać na przykładzie Clontarfu i blizny na twojej szczęce! – zadudnił Athelstane, a jego przyjacielskie klepięcie sprawiło, że Oswick aż przysiadł, co wywołało salwy rubasznego śmiechu.

- Uważaj na nią, Thorfelu! – zawołał siedzący pośród wojowników bystrooki młody Juno. – Irlandzkie dziewczyny mają pazury jak koty!

Thorfel roześmiał się z pewnością siebie człowieka przyzwyczajonego do posłuszeństwa.

- Udzielę jej kilku lekcji solidną różgą. Ale dość gadania. Późno się robi. Kapłanie, udziel nam ślubu.

- Córko – rzekł niepewnie ksiądz, wstając. – Ci poganie przywiedli mnie tu gwałtem, abym dopełnił chrześcijańskiego sakramentu w tym bezbożnym domu. Czy pragniesz z własnej i nieprzymuszonej woli poślubić tego mężczyznę?

- Nie! Nie! O Boże, nie! – krzyknęła Moira z dziką desperacją. Na czoło Turlogha wystąpiły krople potu. – O, święty panie, ocal mnie od tego losu. Wyrwali mnie z mego domu, powalili brata, który chciał mnie ratować! Ten człowiek wyniósł mnie, jakbym była tobołem, bezdusznym zwierzęciem!

- Cicho! – ryknął Thorfel i uderzył ją w twarz, lekko, lecz z wystarczającą siłą, by krew pojawiła się na jej delikatnych wargach. – Na Thora, robisz się nieposłuszną. Postanowiłem się ożenić i nie powstrzymają mnie żadne piski wrywającej się dziewczki. No co, niewdzięcznico, czyż nie chcę cię poślubić chrześcijańskim sposobem, jedynie ze względu na twoje głupie przesady? Pamiętaj, ja nie dbam

o sakramenty i jeżeli nie jak żonę, to wezmę cię jak niewolnicę.

- Córko – mówił drżącym głosem kapłan, zalekniiony nie o siebie, lecz o nią. – Zastanów się. Ten człowiek daje ci więcej, niż dałoby wielu innych. Proponuje ci przynajmniej szacowny stan małżeński.

- Tak jest – wtrącił Athelstane. – Weź ślub jak dobra dziewczyna i korzystaj z tego. Niejedna kobieta z południa sypia w małżeńskim łóżu na północy.

Co mogę zrobić? – pytał sam siebie Turlogh i pytanie to rozdzierało mu umysł. Mógł zrobić tylko jedno: poczekać do końca ceremonii, aż Thorfel oddali się z oblubienicą, a później, najciszej jak to będzie możliwe, porwać ją. Potem... nie ośmielał się układać zbyt daleko sięgających w przyszłość planów. Zrobił i zrobi, co tylko będzie mógł. Tego, czego dokonał, z konieczności dokonał samotnie. Człowiek bez klanu nie ma przyjaciół, nawet wśród wygnańców.

Nie miał sposobu, by zawiadomić Moirę o swej obecności. Musi ona przetrwać całą uroczystość nie mając nawet cienia nadziei na ocalenie, nadziei, którą dałaby jej wiedza o jego przybyciu. Instynktownie spojrzął na

posepny Ciemny Posąg, stojący na uboczu. U jego stóp nowe walczyło ze starym, chrześcijanie z poganami, lecz Turlogh nawet w tej chwili wyczuwał, że i nowe, i stare było równie młode dla tej postaci.

Czy kamienne uszy posągu słyszały charakterystyczny szmer, gdy dzioby łodzi tarły o piasek? Cichy cios noża w ciemności, charkot wydobywający się z poderżniętego gardła? Zgromadzeni w skalli słyszeli tylko własne krzyki, a bawiący się przy ognisku na dworze śpiewali nieświadomi, że wokół nich zaciska swą pętlę bezgłośna śmierć.

- Dość! – krzyknął Thorfel. – Licz paciorki, kapłanie, i mów swoje modlitwy! A ty, dziewczko, chodź tu i bierzemy ślub.

Poderwał dziewczynę ze stołu i postawił przed sobą. Wyrwała mu się. Jej oczy płonęły, burzyła się gorąca krew Celtów.

- Ty żółtowłosa świniu! – zawołała. – Czy ci się zdaje, że księżniczka Clare, w której żyłach płynie krew Briana Boru, zasiądzie na ławie w domu barbarzyńcy i będzie rodzić słomianogłowe szczeniaki piratowi z północy? Nie! Nigdy nie będę twoją żoną!

- A zatem wezmę cię jako niewolnicę! – ryknął chwytając ją za rękę.

- Nie w ten sposób, świnio! – krzyknęła, w poczuciu tryumfu zapomniawszy o strachu. Jak błyskawica wyrwała mu zza pasa sztylet i nim zdążył ją powstrzymać, wbiła wąskie ostrze we własną pierś. Ksiądz krzyknął, jakby to on został zraniony, skoczył do przodu i pochwycił podającą na ręce.

- Bądź przeklęty, Thorfelu, przez Boga Wszechmogącego! – zawołał. Jego głos dźwięczał jak głos rogu, gdy niósł dziewczynę na stojące w pobliżu posłanie.

Thorfel stał zaskoczony. Przez chwilę panowała cisza i nim ta chwila minęła, Turlogha O'Briena ogarnęło szaleństwo.

- Lamh Laidir Abu! – bojowy okrzyk O'Brienów rozciął ciszę jak ryk rannej pantery. Wszyscy odwrócili się, szukając jego źródła, a oszalały Celt wpadł do sali niby wicher z piekieł. Opanowała go czarna celtycka furia, wobec której blednie nawet szaleńcza pasja wikingów. Z płomiennymi oczyma i strużką piany na wykrzywionych wargach runął między zaskoczonych biesiadników. Przerazające spojrzenie utkwiał w Thorfelu w przeciwnym

końcu sali, lecz w biegu uderzał na lewo i prawo. Jego atak przypominał przejście trąby powietrznej, pozostawiającej na swej drodze pas martwych konających.

Ławy przewracały się, krzyczeli ludzie, płynęło piwo z wywróconych antałów. Natarcie Turlogha było szybkie, nim jednak dosięgnął Thorfela, zdążyli zagrozić mu drogę dwaj wojownicy z obnażonymi mieczami – Halfgar i Oswick. Wiking z blizną na twarzy poległ, nim jeszcze zdolał unieść broń. Celt odbił tarczą cios Halfgara i z błyskawiczną szybkością uderzył ponownie. Ostrze jego topora przecięło kolczugę, zebra i kręgosłup.

W sali zapanował straszliwy tumult. Mężczyźni chwyтали za broń i ze wszystkich stron parli tam, gdzie cicho i strasznie szalał samotny Dalkazjanin. Turlogh Dubh przypominał w swej furii rannego tygrysa. Jego rozmazane szybkością ruchy były eksplozją dynamicznej siły. Halfgar nie zdążył jeszcze upaść, a on już przeskoczył przez jego ciało i ruszył w stronę Thorfela, który, oszołomiony, stał nieruchomo z nagim mieczem w dłoni. Zaraz jednak wpadł między nich tłum wojowników. Wznosiły się i opadały miecze, jak błyskawica lśnił między nimi dalkazjański topór. Wojownicy atakowali z prawej i z

lewej, z przodu i z tyłu. Z jednej strony zbliżał się Osric, wymachujący dwuręcznym mieczem, z drugiej napierał z włócznią inny wiking. Turlogh uchylił się przed cięciem miecza i jednocześnie wyprowadził podwójny cios, w prawo i w tył. Brat Thorfela upadł, trafiony w kolano, drugi wiking zginął na miejscu, gdy tylny szpikulec topora przebił mu czaszkę. Prostując się Celt uderzył tarczą w twarz przeciwnik atakującego go z przodu. Wystające ostrze zmieniło rysy tamtego w krwawą miazgę. W chwilę później, gdy Dalkazjanin odwracał się z kocią zwinnością, aby odeprzeć atak z tyłu, poczuł, jak zwisa nad nim cień śmierci. Tracąc równowagę upadł na stół, lecz kątem oka dostrzegł jeszcze, jak Tostig zamierza się swym ciężkim, oburęcznym mieczem. Wiedział, że tym razem nie zdoła go ocalić nawet jego nadludzka szybkość. A potem świszczący miecz zahaczył o stojący na stole Ciemny Posąg i z hukiem gromu rozpadł się na tysiąc błękitnych iskier. Tostig zatoczył się, oszołomiony. Wciąż trzymał bezużyteczną rękojeść, gdy Turlogh pchnął toporem jak mieczem. Górne ostrze trafiło Duńczyka w oko i przebiło mu mózg.

Dokładnie w tym momencie w sali dał się słyszeć cichy świst i krzyki bólu. Potężny wojownik z uniesionym

toporem sunął niezdarnie w stronę Turlogha, który rozplątał mu czaszkę, zanim zdążył zauważyć sterczącą wikingowi z gardła strzałę o krzemiennym grocie. Przestrzeń przecinały brzęczące niby pszczoły lśniące promienie, niosące szybką śmierć. Celt zaryzykował i spojrzał w stronę głównego wyjścia w drugim końcu sali. Wlewał się przez nie do wnętrza niezwykły tłum – niewysocy, ciemnoskórzy mężczyźni o nieruchomych twarzach i oczach jak paciorki. Choć słabo uzbrojeni, mieli jednak miecze, włócznie i łuki. Teraz, na bliską odległość, wypuszczali swe długie, czarno upierzone strzały niemal na oślep, a wikingowie walili się pokotem.

Przez wielką salę skalli przetoczyła się krwawa fala bitwy, burza zmagania, która łamała stoły, miażdżyła ławy, ze ścian zrywała ozdoby i trofea, pozostawiała zaś kałuże krwi na podłodze. Obcych ciemnoskórych mniej było niż wikingów, lecz zaskoczenie i chmura strzał wyrównywały ich szanse. W walce wręcz okazali się nie gorsi niż ich potężni nieprzyjaciele. Oszołomieni niespodziewanym atakiem i wypitym w czasie uczyty piwem, nie mający dość czasu, by w pełni się uzbroić, Norwegowie walczyli z dziką brawurą cechującą ich rasę. Prymitywna furia

atakujących dorównywała jednak waleczności wikingów. W końcu sali zaś, gdzie poblady kapłan ochraniał konającą dziewczynę, Czarny Turlogh ciął i kłuł ogarnięty szaleństwem, wobec którego i waleczność, i furia zdawała się niczym.

Nad tym wszystkim wznosił się Ciemny Posąg. Turloghowi, gdy w chwilach między błyskiem miecza i cięciem topora rzucał mu szybkie spojrzenia, zdawało się, że wizerunek rośnie, rozszerza się i wydłuża, jak olbrzym spoglądając z góry na pole bitwy. Głowa posągu sięgała osmolonych krokwi i zdawać się mogło, że jak czarna chmura śmierci zawisa nad robactwem, które u jego stóp podrzyna sobie gardła. Pochłonięty błyskawiczną wymianą ciosów, Turlogh pojmował jednak, że walka jest właściwym żywiołem Ciemnego Posągu. To on rozbudził w przeciwnikach wściekłość i okrucieństwo. Ostry zapach świeżo przelanej krwi uderzał aromatem w jego nozdrza, a padające jasnowłose ciała były jak ofiary składane na jego ołtarzu.

Burza bitwy wstrząsnęła wielką salą. Skalli zmieniła się w rzeźnię, ludzie ślizgali się we krwi, padali i ginęli. Spadały z ramion szczyrzące zęby głowy, hakowate

włócznie wyrywały z przebitych piersi bijące jeszcze serca, rozbryzgiwały się mózgi plamiąc wywijające szaleńczo ostrza toporów, sztylety kłuły od dołu, rozpruwając brzuchy i rozrzucając wnętrzności po podłodze. Uderzenia i szczęk stali ogłuszały. Nikt nie prosił o łaskę i nikt jej nie dawał. Jeden z wikingów, ranny, rzucił się na napastnika, powalił go i dusił nie zważając na nóż, który ofiara raz za razem wbijała w jego ciało. Jeden z ciemnoskórych wojowników pochwycił dziecko, które z płaczem wybiegło gdzieś z wewnętrznych komnat, i rozbił mu głowę o ścianę. Inny złapał za włosy jedną z kobiet, powalił na kolana i poderżnął jej gardło, a ona pluła mu w twarz. Ktokolwiek oczekiwałby płaczu czy błagań o litość, nie usłyszałby ich. Mężczyźni, kobiety i dzieci umierali, nie przestając ciąć i drapać. Z ostatnim tchnieniem wydawali z siebie szloch bezsilnej wściekłości lub charkot nie dającej się ugasić nienawiści.

Czerwone fale mordy oblewały stół, na którym stał nieruchomy jak góra Ciemny Posąg. U jego stóp konali wikingowie i obcy. Ile takich piekieł szaleństwa i zbrodni oglądały twe dziwne rzeźbione oczy, Posągu?

Ramię przy ramieniu walczyli Thorfel i Sweyn. Sas Athelstane, ze zmierzwioną złotą brodą, pełen radości walki, wsparł się plecami o ścianę. Za każdym cięciem jego topora padali na ziemię przeciwnicy. Nadbiegł Turlogh. Płynnym ruchem tułowia uchylił się przed potężnym cięciem. Teraz pokazała się wyższość irlandzkiej broni, zanim bowiem Athelstane zdążył ponownie unieść swój ciężki oręż, dalkazjański topór uderzył jak atakująca kobra. Sas zatoczył się. Ostrze rozcięło pancerz i sięgnęło żeber. Po kolejnym ciosie runął, krew płynęła z jego skroni.

Teraz już tylko Sweyn stał Turloghowi na drodze do Thorfela. Celt niby pantera skoczył ku broniącej się parze, lecz ktoś go wyprzedził. Wódz obcych jak cień zanurkował pod mieczem Sweyna i od dołu wbił swe ostrze w ciało wikinga, tuż poniżej kolczugi. Turlogh i Thorfel stanęli naprzeciw siebie samotni. Norweg nie był tchórzem i cieszył się walką. Roześmiał się i zadał pierwszy cios. Na twarzy Celta nie było jednak wesołości, a tylko szaleńcza wściekłość, która wykrzywiała jego wargi, a oczy zmieniała w dwa błękitne płomienie.

Przy pierwszym skrzyżowaniu broni pękł miecz Thorfela. Młody król morza skoczył jak tygrys, starając się dosięgnąć przeciwnika szczątkiem ostrza. Turlogh roześmiał się dziko, gdy ten szczątek rozorał mu policzek. W tej samej chwili ciał wikinga toporem w lewą stronę. Ten runął ciężko, z wysiłkiem podniósł się na kolana, po omacku szukając sztyletu. Oczy zachodziły mu mgłą.

- Kończ! I bądź przeklęty! – warknął.

Turlogh roześmiał się.

- Gdzie się podziała twoja duma i potęga? – szydził. – Ty, co przemocą chciałeś poślubić irlandzką księżniczkę... ty...

Nienawiść wybuchła w nim nagle ze straszną mocą. Ryknął jak oszalała pantera. Ostrze topora zatoczyło szeroki łuk i wbiło się w ciało Thorfela, rozcinając je od ramienia po mostek. Następny cios odciął głowę. Z tym ponurym trofeum w ręku Turlogh zbliżył się do posłania, na którym leżała Moira O'Brien. Kapłan podtrzymywał jej głowę i przysuwał puchar wina do bezkrwistych warg. Zamglone szare oczy patrzyły na Turlogha niezbyt przytomnie. Wreszcie wydało mu się, że Moira poznaje go i próbuje się uśmiechnąć.

- Moiro, krwi mego serca – powiedział boleśnie. – Umierasz w obcym kraju. Ptaki ze wzgórz Cullane będą płakać po tobie, a wrzos próżno tęsknić będzie z krokiem twych drobnych stóp. Lecz nie zastaniesz zapomniana. Dla ciebie krew splami ostrza toporów, dla ciebie tonąc będą okręty i staną w płomieniach wielki miasta za murami. A żeby twój duch nie odchodził w dziedziny Tir-nan-Oga niezaspokojony, składam przed tobą ten oto znak pomsty.

Wyciągnął ku niej dłoń z ociekającą krwią głową Thorfela.

- W imię Boga, synu! – powiedział kapłan zachrypłym ze zgrozy głosem. – Świat się kończy. Czy chcesz swe straszne czyny popełniać w obecności...Spójrz, ona już nie żyje. Oby Bóg w swej nieskończonej łasce zlitował się nad jej duszą, bo choć sama odebrała sobie życie, to odeszła tak, jak żyła, niewinna i czysta.

Turlogh pochylił głowę, ostrze jego topora wsparło się o podłogę. Płomień szaleństwa zgasł, pozostawiając po sobie tylko mroczny smutek i głębokie poczucie daremności czynów i zmęczenia. W sali panowała cisza. Nie było słyhać jęków rannych. Działy tu noże ciemnoskórych wojowników i tylko ich ranni tu pozostali.

Dalkazjanim spostrzegł, że żywi zgromadzili się teraz wokół Ciemnego Posągu i przyglądają mu się nieruchomymi oczyma.

Kapłan odmawiał różaniec nad ciałem martwej dziewczyny. Tylną ścianę budynku pochłaniał ogień, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Nagle spomiędzy trupów podniosła się niepewnie potężna postać. Sas Athelstane, którego ominęli obcy wojownicy, oparł się o ścianę i rozglądał dookoła, oszołomiony. Krew spływała mu z ran: na piersi i na skroni, w miejscu gdzie irlandzki topór ześlizgnął się po czaszce.

Turlogh podszedł ku niemu.

- Nie żywię do ciebie nienawiści, Sasie – powiedział wolno. – Krew żąda jednak krwi. Musisz zginąć.

Athelstane spoglądał na niego milcząc. W jego dużych szarych oczach malowała się powaga, nie było jednak lęku. On także był barbarzyńcą, bardziej poganinem niż chrześcijaninem. On także znał prawa wojny klanów. Kiedy jednak Turlogh uniósł do ciosu swój topór, wyciągając chude ramiona skoczył między nich kapłan.

- Koniec! Zakazuję ci w imię boże! O Wszechmogący, czy nie dość krwi popłynęło już tej strasznej nocy? W imię Najwyższego, biorę tego człowieka w opiekę.

Turlogh opuścił topór.

- Jest twój. Nie z powodu twoich zaklęć i klątw ani też z powodu twojej wiary, ale dlatego, że ty też jesteś człowiekiem i zrobiłeś wszystko, co mogłeś, dla Moiry.

Odwrócił się czując, że ktoś dotyka jego ramienia. Wódz obcych patrzył na niego nieruchomymi oczyma.

- Kim jesteś? – spytał obojętnie Celt. Odpowiedź go nie interesowała, czuł tylko zmęczenie.

- Jestem Brogar, wódz Piktów, przyjacielu Ciemnego Posągu.

- Dlaczego mnie tak nazywasz?

- On płynął na dziobie twojej łodzi i prowadził cię poprzez wiatr i deszcz. Uratował ci życie łamiąc wielki miecz wikinga.

Turlogh popatrzył na pogrążony w zadumie Posąg. Wydało mu się, że za dziwnymi oczyma kryje się ludzka czy nawet nadludzka inteligencja. Czy tylko przypadek sprawił, że miecz Tostiga trafił w statuę, kiedy wiking wznosił go do śmiertelnego ciosu?

- Kim on jest? – zapytał.

- To jedyny bóg, jaki nam pozostał – ze smutkiem odrzekł Brogar. – To wizerunek naszego największego króla, Brana Mak Morna. Zjednoczył on kiedyś podzielone plemiona Piktów i stworzył jeden potężny naród, który pędził przed sobą wikingów i Brytów i rozbijał rzymskie legiony. Działo się to całe wieki temu. Pewien mag stworzył ten posąg, gdy wielki Morni żył jeszcze i panował. Gdy zginął w ostatniej wielkiej bitwie, jego duch wstąpił w tę rzeźbę. To jest nasz bóg.

To my panowaliśmy przed wiekami, zanim nadeszli Celtowie, Brytowie i Rzymianie, my władaliśmy wyspami zachodu. Nasze kamienne kręgi wznosiły się ku słońcu. Tworzyliśmy w kamieniu i skórze i byliśmy szczęśliwi. Później przyszli Celtowie i zepchnęli nas na odludzie. Oni dzierżyli południe, my żyliśmy na północy. Ale byliśmy silni. Rzym złamał opór Brytów i ruszył na nas. Wtedy wyszedł spośród Piktów Bran Mak Morn z krwi Brule Włócznika, przyjaciela Kulla, władcy Waluzji, który panował wiele tysięcy lat temu, nim Atlantyda zatonała w falach oceanu. Bran został władcą Kaledonii. Przełamał

żelazne szeregi Rzymu i legiony umykały przed nim na południe, za Mur.

Bran padł w bitwie i nasz naród rozpadł się. Zaczęły się wojny domowe. Nadeszli Celtowie i na ruinach Cruithni wzniesli królestwo Dalriadii. A kiedy Szkot Kenneth Mac Alpinie rozbił królestwo Galloway, resztki piktyjskiego imperium stopniały jak śnieg na zboczach gór. Teraz żyjemy jak wilki – na zagubionych wysepkach, pośród górskich turni i mglistych wzgórz Galloway. Nasz lud ginie. Przemijamy. Ale Ciemny Posąg trwa – on, wielki król Bran Mak Morn, którego duch żyje wiecznie w kamiennym wizerunku.

Jak we śnie Turlogh zobaczył, jak stary Pikt, bardzo podobny do tamtego, w którego martwych ramionach pierwszy raz zobaczył Ciemny Posąg, podnosi statwę ze stołu. Ręce starca przypominały mu suche gałęzie, wysuszona jak u mumii skóra przylegała do czaszki, a przecież z łatwością podniósł figurę, którą z trudem wlokło dwóch silnych wikingów.

- Tylko przyjaciel może bezpiecznie dotykać posągu – rzekł cicho Brogar, jakby czytając w myślach Turlogha. –

Wiedzieliśmy, że jesteś naszym przyjacielem, bo On płynął w twojej łodzi i nie uczynił ci krzywdy.

- Skąd o tym wiecie?

- Ten starzec – Brogar wskazał na siwobrodego Pikta – to Gonar, najwyższy kapłan Ciemnego Posągu. Duch Brana Mak Morna odwiedza go we śnie. Grok, niższy kapłan, i jego ludzie ukradli posąg i ruszyli łodzią na morze. Gonar ruszył za nimi we śnie. Więcej nawet, śpiąc posłał swojego ducha razem z duszą wielkiego Morni. Widział ścigających łódź wikingów, widział walkę i rzeź na Wyspie Miecz. Widział także, jak ty przybyłeś i znalazłeś Posąg, i dowiedział się, że duch wielkiego króla jest z ciebie zadowolony. Zguba wrogom Mak Morna! Ale jego przyjaciółom towarzyszyć będzie szczęście.

Turlough słuchał jak w transie. Na twarzy czuł ciepło bijące od pożaru. Chwilami migocące płomienie oświetlały głowę Ciemnego Posągu i gdy jego czciciele wynosili go z budynku, wydawać się mogło, że jest żywy. Czy naprawdę żył w tym zimnym kamieniu duch dawno zmarłego władcy? Bran Mak Morn kochał swój lud dziką miłością, a straszną nienawiścią darzył jego wrogów. Czy można było

w martwy zimny głaz tchnąć tę miłość i nienawiść, by przetrwała wieki?

Turlogh wziął na ręce drobne nieruchome ciało martwej dziewczyny i wyniósł je z ogarniętej pożarem sali. W zatoce stało na kotwicy pięć długich otwartych łodzi. Pośród szczątków ognisk leżały ciała biesiadników.

- Jak zdołaliście podkraść się do nich niezauważeni? – spytał Turlogh. – I skąd przybyliście w tych otwartych łodziach?

- Ci, którzy żyją ukradkiem, potrafią się skradać jak pantery – odparł Pikt. – A ci tutaj byli pijani. Płynęliśmy za Ciemnym Posągiem, a przybyliśmy tu z Wyspy Ołtarza leżącej u brzegów Szkocji. To właśnie stamtąd Grok wykradł Czarny Posąg.

Turlogh nie znał wprawdzie wyspy o takiej nazwie, lecz z podziwem pomyślał o odwadze ludzi, którzy w takich łodziach ośmielili się wyruszyć na pełne morze. Przypomniawszy sobie o swojej łodzi i poprosił Brogara, by posłał po nią kilku swoich ludzi. Czekał, aż opłyną cypel, przyglądał się kapłanowi opatrującemu rannych, którzy nieruchomi i milczący, nie wypowiadali ani jednego słowa skargi ni podziękowania.

Rybacka łódź, pędzona wiatrem, wynurzyła się z cypła dokładnie w chwili, gdy pierwsze zerze świtu zaczerwieniły morze. Piktowie wsiadali do swoich statków, wnosząc do nich swych rannych i zabitych. Turlogh wszedł na pokład łodzi i delikatnie złożył na nim swoje smutne brzemię.

- Spocznie we własnym kraju – rzekł smutnie. – Nie będzie pochowana na tej zimnej, obcej wyspie. A ty, Browarze, dokąd wyruszasz?

- Zabieramy Posąg na jego wyspę, do jego ołtarza – odparł Pikt. – On dziękuje ci ustami swego ludu. Łączy nas więź krwi i może znowu przybędziemy, by pomóc ci w potrzebie, tak jak Bran Mak Morn, wielki król Piktów, przybędzie do swego ludu, gdy nadejdzie dzień.

- A ty, dobry Jerome, nie popłyniesz ze mną?

Kapłan pokręcił głową przecząco i wskazał Athelstane'a. Ranny Sas spoczywał na prostym pościeli z ułożonych na śniegu skór.

- Zostanę tutaj, aby go doglądać. Jest ciężko ranny.

Turlogh rozejrzył się wokół. Ściany skalli runęły, zmieniając się w stos tlejących głowni. Ludzie Brogara

podłożyli ogień pod magazyny i smoczą łódź Thorfela. Dym i płomień przyćmiły światło dnia.

- Zamarzniesz tu albo zginiesz z głodu. Płyn lepiej ze mną.

- Znajdę dosyć żywności dla nas obu. Nie przekonuj mnie, synu.

- To poganin i rabuś.

- To nieistotne. Jest człowiekiem, żywym stworzeniem.

Nie mogę go tu zostawić na pewną śmierć.

- Niech więc i tak będzie.

Turlogh zaczął się szykować do odpłynięcia. Łodzie Piktów miały już cypel i wyraźnie słyszał rytmiczny stuk ich wiosel. Nie oglądali się, całkowicie skoncentrowani na wiosłowaniu. Popatrzył na sztywne już trupy na brzegu, na zwęglone bierwiona skali, żarzące się jeszcze resztki łodzi. W blasku poranka szczupły i blady kapłan zdawał się być istotą nie z tego świata, może świętym ze starego, iluminowanego manuskryptu. Na jego poranej bruzdami twarzy odbijał się smutek więcej niż ludzki, więcej niż ludzkie zmęczenie.

- Patrz! – krzyknął nagle wskazując na morze. – Ocean pełen jest krwi. Spójrz, jak spływa czerwienią w

blasku słońca. Ludu mój, ludu, krew, którą w gniewie rozlałeś, nawet morze zabarwia szkarłatem. Czy zdołasz to przewyciężyć?

- Przy płynąłem w śniegu i deszczu – odparł Turlogh nie rozumiejąc z początku. – Odpływam, jak przybyłem.

Kapłan pokręcił głową.

- To nie jest zwykle ziemskie morze. Twoje ręce czerwone są od krwi, podążasz przez czerwone, krwawe wody, lecz nie twoja to tylko wina. Panie Wszechmogący, kiedyż skończy się to panowanie krwi?

- Nigdy, dopóki trwa ta rasa.

Pierwsza bryza wydeła żagiel łodzi. Turlogh Dubh O'Brien płynął na zachód niby upiór uciekający od wschodzącego słońca. I tak znikł z oczu kapłana Jerme'a, który patrzył w ślad za nim, osłoniwszy szczupłą dłonią zmęczone czoło, dopóki łódź nie stała się tylko maleńkim punktem na rozkołysanej płaszczyźnie błękitnego oceanu.

BOGOWIE BAL – SAGOTH

1. Klinga wśród burzy

Oślepiiony błyskawicą Turlogh O'Brien pośliznął się w kałuży krwi i zatoczył na rozkołysanym pokładzie. Szczęk stali zagłuszany był hukami piorunów, a przez ryk fal i wichru przebijały się jęki konających. Błyskawice co chwila oświetlały krwawe plamy i leżące wszędzie trupy, wielkie rogate sylwetki, które wrzeszcząc niby upiory nocnego sztormu rąbały mieczami, i wynurzający się z ciemności potężny dziób smoczej łodzi.

Starcie było szybkie i śmiertelne; w chwilowym rozbłysku Turlogh dostrzegł przed sobą dziką brodatą twarz i jego topór, zatoczywszy krótki łuk, rozciął ją aż do podbródka. W absolutnej czerni, która nastąpiła potem, niespodziewany cios strącił mu hełm z głowy. Celt uderzył na ślepo, usłyszał wrzask i poczuł, jak ostrze jego broni grzęźnie w ciele. Znow zapłonęły ognie rozgniewanych niebios, ukazując mu pierścień otaczających go stalowym murem okrutnych twarzy.

Wsparty plecami o grotmaszt, Turlogh odbijał ciosy i zadawał je, aż pośród szaleństwa bitwy zagrzemiał potężny głos i przez jedną chwilę Celtowi wydało się, że dostrzega gigantyczną, dziwnie znajomą postać. A potem cały świat pokryła przetykana złotymi iskierkami ciemność.

Świadomość powracała powoli. Turlogh najpierw zdał sobie sprawę z kołysania, ze wstrząsów całego ciała, nad którym jeszcze nie umiał zapanować. Potem poczuł tępy ból w głowie i spróbował podnieść rękę. Wtedy pojął, że jest związany – przeżycie niezupełnie mu nieznane. Przejaśniający się wzrok powiedział mu, że został przywiązany do głównego masztu smoczej łodzi, a powalili go płynący nią wojownicy. Nie umiał sobie tylko wytłumaczyć, dlaczego zdecydowali się go oszczędzić. Gdyby go znali, wiedzieliby, że jest wyrzutkiem – wygnańcem swego klanu, który nie zapłaci żadnego okupu, by go ocalić, choćby z samych otchłani piekła.

Wiatr zelżał, lecz rozkołysane morze niby drzazgę podrzucało okręt z przepaści na spienione grzbiety fal. Zagląający przez poszarpane chmury okrągły srebrny księżyc oblewał swym blaskiem potężne bałwany. Turlogh, wychowany na dzikich zachodnich brzegach Irlandii,

wiedział, że smocza łódź jest uszkodzona. Poznawał to po sposobie, w jaki posuwała się naprzód, głęboko orząc wodę, jak pochylała się pod naporem fali. Cóż, szalejące na południowych akwenach burze były wystarczająco silne, by naruszyć nawet tak solidną konstrukcję jak ta, będąca dziełem wikingów.

Ten sam wichur porwał też francuski statek, na którym Turlogh był pasażerem, i zepchnął z kursu daleko na południe. Dnie i noce zmieniły się w ślepy, huczący chaos, w którym niby ranny ptak płynęły uciekając przed sztormem. I pośród największej nawałnicy z ciemności wynurzył się smoczy dziób i zawisł nad niższym, szerszym statkiem, a haki wbiły się w burtę. Niby wilki byli ci wikingowie i ponadludzka żądza krwi płonęła w ich sercach. Wśród grozy i ryku sztormu z wyciem rzucili się do ataku i sycili swą furie, gdy rozszalałe niebo zwróciło na nich swój gniew, a każde uderzenie fali groziło zatopieniem obu okrętów – prawdziwi synowie morza, którego wściekłość echem odbijała się w ich duszach. Walka przypominała raczej rzeź – Celt był jedynym wojownikiem na pokładzie skazanego na zagładę statku. Teraz

przypominał sobie dziwnie znajome rysy twarzy, którą dostrzegł na moment przed swym upadkiem. Kto...?

- Witaj, mój dumny Dalkazjaninie! Wiele czasu minęło od naszego ostatniego spotkania.

Turlogh przyjrzał się człowiekowi, który stał przed nim na szeroko rozstawionych nogach, by nie stracić równowagi na przechylonym pokładzie. Potężna postać przewyższała go o ponad pół głowy, a przecież sam miał dobrze powyżej sześciu stóp wzrostu. Nogi przypominały kolumny, ręce były jak konary dębu. Złota broda harmonizowała z masywnymi bransoletami na ramionach. Zbroja z łusek nadawała mu wojowniczy wygląd, a rogaty hełm dodawał wzrostu. W jego chłodnych szarych oczach nie było gniewu. Z niezmaconym spokojem wpatrywały się w Turlogha.

- Athelstane, Sas!

- Tak. Wiele dni minęło od czasu, kiedy dostałem od ciebie to – olbrzym dotknął wąskiej białej blizny na skroni. – Taki chyba nasz los, że spotykamy się w nocie szaleństwa. Pierwszy raz skrzyżowaliśmy broń wtedy, gdy spaliłeś skalli Thorfela. Tam padłem pod ciosem twego topora, a ty ocaliłeś mnie z rąk Piktów Brogara – mnie jedyne go ze

wszystkich, którzy byli z Thorfelem. Dzisiaj to właśnie ja cię powaliłem.

Dotknął rękojeści wielkiego dwuręcznego miecza, który nosił przytroczony na plecach. Turlogh zaklął.

- Nie powinienes mnie przeklinać – rzekł Athelstane smutnym głosem. – Mogłem cię zabić w tym tłoku. Uderzyłem na płask, ale obiema rękami, bo wiem, że wy, Irlandczycy, macie twarde czaszki. Od długich godzin jesteś nieprzytomny. Lodbrog chciał cię dobić, tak jak resztę załogi kupieckiego statku, lecz zażądałem prawa do twojego życia. Wikingowie zgodzili się ciebie oszczędzić pod warunkiem, że będziesz przywiązany do masztu. Znają cię z dawnych czasów.

- Gdzie jesteście?

- Mnie o to nie pytaj. Sztorm zepchnął nas z kursu. Płynęliśmy łupić wybrzeże Hiszpanii, a kiedy przypadek podrzucił nam twój statek, to oczywiście skorzystaliśmy z okazji, lecz nie była to bogata zdobycz. Teraz płyniemy z prądem, nikt nie wie dokąd. Wiosło sterowe jest złamane, a okręt uszkodzony. Z tego, co wiem, to równie dobrze możemy pędzić i na sam kraj świata. Przysięgnij, że się do nas przyłączysz, to rozetnę ci więzy.

- Mam przysiąc, że dołączę do zastępów piekielnych?
– warknął Turlogh. – Wolę raczej zatonać z okrętem i na zawsze zasnąć pod zielonymi wodami przywiązany do tego masztu. Żałuję tylko, że nie mogę więcej wilków mórz posłać, by dołączyli do tych stu kilku, którzy dzięki mnie pokutują już w czyścicu!

- Dobrze, dobrze – powiedział pobłaźliwie Athelstane.
– Człowiek musi jeść... o, tutaj... uwolnię ci przynajmniej rękę. A teraz wgrzyź się w ten kawał mięsiwa.

Turlogh pochylił głowę i zaczął chciwie szarpać zębami potężny udziec. Sas przyglądał mu się przez chwilę, po czym odwrócił się i odszedł.

Dziwny człowiek z tego saskiego renegata – pomyślał Dalkazjanin. – Poluje ze stadem północnych wilków i jest straszny w walce, ale jest w nim jakaś łagodność, odróżniająca go od ludzi, z którymi się połączył.

Statek błędził wśród nocy, a Athelstane, który wrócił z rogiem pianistego piwa, zauważył, że chmury znowu gęstnieją, okrywając mrokiem kipiącą powierzchnię oceanu. Odszedł, pozostawiając Celtowi wolne ręce, lecz ten i tak nie mógł się uwolnić, trzymany przy maszcie przez powrozy oplatające jego nogi i tułów. Piraci nie

zwracali uwagi na swego więźnia; zbyt pochłaniało ich utrzymanie statku na wodzie, by nie zatonął wraz z nimi.

Po pewnym czasie Turloghowi wydało się, że poprzez szum fal dobiega go gromki grzmot. Był coraz głośniejszy i w końcu dosłyszały go nawet nie tak wrażliwe uszy wikingów. W tej samej chwili okręt, trzeszcząc we wszystkich więzach, skoczył do przodu niby rumak spięty ostrogą. Rozświetlane zorzą przedświtu chmury rozstały się jak zaczarowane, odsłaniając dziko wzburzoną powierzchnię morza i biały pas przyboju wprost przed dziobem. Zza zalewanych falami skał wyłaniał się ląd, zapewne jakaś wyspa. Załamujące się bałwany huczały ogłuszająco, gdy pochwycony prądem statek pognał ku swej zgubie. Turlogh zobaczył Lodbroga, jak z rozwianą brodą rzuca się tam i tu, wymachując pięściami i wykrzykuje rozkazy, nie mające już znaczenia. Do masztu podbiegł Athelstane.

- Nikt z nas nie ma wielkich szans – rzucił rozcinając więzy Celta. – Lecz ty będziesz miał takie same jak reszta...

Turlogh odskoczył, wreszcie wolny.

- Gdzie mój topór?

- Tam, w stojaku na broń. Ale, chłopie, na krew Thora! – zdumiał się Sas. – Przecież w takiej chwili dodatkowy ciężar...

Dalkazjanin chwycił broń i od dobrze znanego dotknięcia wąskiego, pięknie ukształtowanego uchwytu pewność siebie jak wino rozplynęła się po jego żyłach. Topór był częścią jego ciała, był jak prawa ręka. Jeżeli miał umierać, pragnął do końca trzymać go w dłoni. Pospiesznie wsunął go za pas – po schwyтaniu zdjęto z niego całą zbroję.

- W tych wodach żyją rekiny – poinformował go Athelstane, przygotowując się do zrzucenia swego łuskowego pancerza. – Gdyby przyszło nam pływać...

W tej właśnie chwili okręt uderzył w skałę. Maszty runęły od wstrząsu, a kadłub pękł niby szkło. Smoczy łeb z dzioba wystrzelił wysoko w górę, a ludzie jak kręgle staczali się z przechylnego pokładu. Przez pewien czas statek trwał w równowadze, drżący, jakby był żywą istotą, po czym ześliznął się z podwodnej rafy i poszedł na dno wśród chmury kropelek wody.

Długi skok przeniósł Turlogha na bezpieczny dystans. Wyplłynął i przez dłuższą chwilę walczył z falami, aż

pochwycił wyrwany z kadłuba okrętu kawał poszycia, który wir wyrzucił na powierzchnię w jego pobliżu. Gdy wypelzał na zbawcze deski, jakiś ciężar uderzył go od dołu i znów poszedł na dno. Celt wyciągnął rękę, pochwycił pas i wciągnął tonącego na swą prowizoryczną tratwę. Dopiero wtedy rozpoznał Athelstane'a, ciągle obciążonego zbroją, której nie zdążył zrzucić. Był chyba nieprzytomny, leżał bezwładnie ze zwisającymi rękami.

W pamięci Turlogha droga poprzez pas przyboju pozostała jako koszmar chaosu. Fale próbowały rozerwać ich kruchy stateczek, to wciągając go pod wodę, to znów wyrzucając pod niebo. Nic nie mógł zrobić, jedynie trzymać się mocno i wierzyć w swoje szczęście. I trzymał, palcami jednej ręki ściskając pas Sasa, drugiej zaś krawędź swej tratwy. Zdawało mu się, że jest to ponad jego siły. Znów znaleźli się pod falami, i jeszcze raz i nagle było już po wszystkim: jakimś cudem wpłynęli na stosunkowo spokojne wody. Zauważył wąską trójkątną płetwę, o jard od nich przecinającą powierzchnię. Skręciła w ich stronę, a wtedy wyrwał zza pasa topór i uderzył. Woda od razu zabarwiła się czerwienią i tratwa zakołysała się od masy nadpływających zewsząd smukłych kształtów.

Rekiny zajęły się rozszarpywaniem swego brata, a Turlogh wiosłując rękami kierował prymitywną tratwę ku brzegowi, do miejsca, gdzie mógł już wyczuć stopami dno. Z wysiłkiem dobrnął na piasek, niosąc i ciągnąc za sobą nieprzytomnego Sasa. I wtedy, mimo swej żelaznej wytrzymałości, Turlogh O'Brien, wyczerpany, zwałił się na ziemię i po chwili spał już głęboko.

2. Bogowi z otchłani

Turlogh nie spał długo. Zbudził się, gdy słońce ledwie zdążyło wznieść się ponad horyzont. Wstał odświeżony, jakby przespał całą noc, i rozejrzał się dookoła. Szeroka biała plaża wznosiła się łagodnie od powierzchni wody do falującego gąszczu gigantycznych drzew. Między nimi nie rosły, jak się wydawało, żadne zarośla, lecz grube pnie stały tak blisko siebie, że wzrok nie mógł przebić się w głąb. Athelstane stał w pobliżu, na wybiegającej w morze ławicy piachu, i oparty na swym wielkim mieczu spoglądał w kierunku skał. Tu i tam leżały wyrzucone na brzeg ciała.

Wtem z ust Turlogha wyrwał się okrzyk zadowolenia. Tuż u swych stóp zauważył martwego wiking, w pełnej zbroi, z hełmem i kolczugą, których nie zdążył zdjąć, gdy okręt tonął. Celt spostrzegł, że jest to jego własna zbroja.

Nawet okrągła lekka tarcza, przypięta do pleców topielca, należała do niego. Przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób wszystkie te rzeczy stały się własnością jednego człowieka, lecz zaraz zdjął je z trupa. Z satysfakcją nałożył czarną kolczugę i prosty hełm. Tak odziany ruszył plażą w stronę Athelstane'a. Jego oczy zaśniły groźnie.

Sas odwrócił się na głos jego kroków.

- Witaj, Celcie – pozdrowił go. – Jesteśmy jedynymi ludźmi z załogi Lodbroga, którzy uszli z życiem. Chciwe morze pochłonęło wszystkich. Na Thora, zawdzięczam ci życie! Obciążony zbroją i po tym, jak walnąłem czaszką o reling, bez wątpienia stałbym się żarciem dla rekinów, gdyby nie twoja pomoc. Wszystko to wydaje się teraz snem.

- Ocaliłeś mi życie – warknął Turlogh. – I ja uratowałem twoje. Dług został spłacony, rachunki wyrównane, więc chwytaj swój miecz i kończmy z tym!

Athelstane spojrzał zdumiony.

- Chcesz ze mną walczyć? Dlaczego... co...?

- Nienawidzę twojego rodzaju tak, jak nienawidzę Szatana! – ryknął Dalkazjanin, a w jego oczach zapłonęła iskra szaleństwa. – Od pięciuset lat twoje wilki gnębią mój

lud! Dymiące zgliszcza południa i morza przelanej krwi żądają pomsty! Krzyki tysiąca porwanych dziewcząt we dnie i w nocy dzwonią w mych uszach! Tak będzie, dopóki na północy zostanie choć jedna pierś, którą mógłby rozplatać mój topór!

- Ależ ja nie jestem wikingiem – powiedział zmieszany wielkolud.

- Tym większa ci hańba, zdrajco! – pieklił się oszalały Celt. – Broń się, bo zarżnę cię z zimną krwią!

- Nie jest to według mojej woli – zaprotestował Athelstane wznosząc swą szeroką klingę. Jego szare oczy były poważne, lecz nie było w nich lęku. – Doprawdy rację mają ci, którzy twierdzą, że drzemie w tobie obłąd.

Słowa nie były więcej potrzebne. Obaj mężczyźni gotowali się do śmiertelnego starcia. Celt zbliżał się do przeciwnika sprężony, niby szykująca się do skoku pantera. Oczy mu błyszczały. Sas oczekiwał ataku stojąc w szerokim rozkroku, broń trzymał oburącz, wysoko. Miały się zetrzeć topór i tarcza Turlogha z wielkim mieczem Athelstane'a; jeden cios mógł rozstrzygnąć pojedynek na korzyść każdego z nich. Ostrożnie, niby dwie leśne bestie, rozgrywali tę grę, gdy nagle...

W chwili gdy mięśnie Turlogha napięły się przed śmiertelnym skokiem, przerażający głos rozdarł ciszę. Obaj przeciwnicy drgnęli i cofnęli się o krok. Gdzieś z gęstwiny lasu niósł się przeraźliwy, niehumaniczny wrzask. Piskliwy, a mimo to niezwykle głośny, wznosił się coraz wyżej, aż zamilkł w strasznym skrzeku, niby chichot tryumfującego demona, niby wycie wilkołaka dopędzającego ludzką zdobycz.

- Krew Thora! – sapnął Sas opuszczając miecz. – Co to było?

Turlogh pokręcił głową. Ten dźwięk wstrząsnął nawet jego żelaznymi nerwami.

- Jakieś monstrum z lasu. Jesteśmy na dziwnej wyspie, leżącej na dziwnym morzu. Być może władca tu sam Szatan, a to jest brama piekła.

Athelstane nie czuł się zbyt pewnie. Nie był właściwie chrześcijaninem i jego diabły były pogańskimi diabłami, lecz nie były przez to mniej straszne.

- No cóż – zaproponował – odłożmy nasz spór, dopóki się nie dowiemy, co też to mogło być. Dwa ostrza to więcej niż jedno, czy to na demona, czy na człowieka...

Przerwał mu dziki wrzask. Tym razem głos był ludzki, a od przepełniającej go grozy i rozpaczki krew stygła w żyłach. Równocześnie posłyszeli szybki tupot stóp i odgłos ciężkiego cielska przedzierającego się przez gałęzie. Odwrócili się w stronę lasu. Z półmroku, niby unoszony wiatrem biały liść, wybiegła półnaga kobieta. Jej rozpuszczone włosy powiewały jak złocisty płomień, jej białe ramiona lśniły w porannym słońcu, w jej oczach płonęło bliskie obłędu przerażenie. A za nią...

Nawet Turloghowi włosy zjeżyły się na głowie. To, co ścigało dziewczynę, nie było ani człowiekiem, ani zwierzęciem. Przypominało kształtem ptaka, jakiego reszta świata nie oglądała od niepamiętnych czasów. Wznosił się na jakieś dwanaście stóp, a jego wstrętny łeb, ze złośliwymi czerwonymi ślepiami i okrutnym, zakrzywionym dziobem, był wielki jak głowa konia. Wygięta w łuk długa szyja grubsza była od męskiego uda, zaś potężna szponiasta łapa mogłaby pochwycić uciekającą jak orzeł chwyt wróbla.

Tyle zauważył Turlogh w chwili, gdy skakał pomiędzy potwora a jego ofiarę, która z płaczem przewróciła się na piasek. Bestia wznosiła się nad nim niby góra śmiertelnej groźby. Straszny dziób opadał w dół, wyszczerbiając

wzniesioną ku niemu tarczę. Celt zachwiał się od uderzenia, lecz natychmiast zadał cios toporem. Ostrze, bez szkody dla stwora, ugrzęzło w sprężystej warstwie twardych piór. Znowu błysnął w powietrzu groźny dziób i tylko szybki unik ocalił Dalkazjaninowi życie. W tejże chwili nadbiegł Athelstane i stanąwszy w rozkroku z całych sił uderzył swym trzymanym oburącz wielkim mieczem. Ciężkie ostrze cięło poniżej kolana jedną z podobnych do pni łap i potwór z ohydny skrzykiem runął na bok, wymachując krótkimi, mocnymi skrzydłami. Turlogh doskoczył i wbił tylne ostrze swego topora pomiędzy błyszczące, czerwone ślepia. Gigantyczny ptak wyprężył nogi, drgnął konwulsyjnie i zmarł bez ruchu.

- Krew Thora! – bitewny zapach lśnił jeszcze w szarych oczach Athelstane'a. – Zaprawdę dotarliśmy na kraj świata...

- Obserwuj las, żeby drugi taki nas nie zaskoczył – rzucił Celt i odwrócił się do kobiety. Podniosła się z wysiłkiem i stała bez tchu, wpatrując się w nich rozszerzonymi zdumieniem oczyma. Była pięknym młodym stworzeniem, wysoka, zgrabna, smukła i kształtna. Jedyne jej okryciem był kawałek jedwabiu,

związany niedbale na biodrach. Ta skąpa odzież mogła być własnością jakiejś dzikuski, lecz dziewczyna miała śnieżnobiałą cerę, rozpuszczone włosy barwy czystego złota i szare oczy. Odezwała się językiem wikingów, lekko się zacinając, jak gdyby nie używała go od lat.

- Wy... Kim wy jesteście? Skąd przybywacie? Co robicie na Wyspie Bogów?

- Krew Thora! – huknął Sas. – Ona jest z naszego ludu!

- Nie z mojego! – warknął Turlogh. Nawet teraz nie potrafił zapomnieć o swojej nienawiści do ludzi z północy.

Dziewczyna przyglądała się im z zaciekawieniem.

- Świat musiał się bardzo zmienić, odkąd go opuściłam – rzekła, najwyraźniej w pełni już odzyskawszy panowanie nad sobą. – Jakże inaczej wilk mógłby polować wspólnie z dzikim bykiem? Po twych czarnych włosach poznaję, że jesteś Celtem, ty zaś, wielkoludzie, masz wymowę, która może być tylko saska.

- Jesteśmy parą wygnańców – wyjaśnił Dalkazjanin. – Widzisz te zwłoki na piasku? To była załoga smoczej łodzi, którą i my płynęliśmy, gnani sztormem. Ten człowiek, Athelstone, niegdyś z Wessex, był na niej wojownikiem, ja

zaś jeńcem. Jestem Turogh Dubh, dawniej wódz z klanu O'Brienów. A kim ty jesteś i co to za ziemia?

- To najstarszy kraj świata – odparła dziewczyna. – Rzym, Egipt i Kitaj są wobec niego niby niemowlęta. A ja jestem Brunhilda, córka Rane'a Thorfinssona z Orkanów, jeszcze przed kilku dniami władczyni tego starożytnego królestwa.

Turlogh spojrział niepewnie na Athelstane'a. Te słowa brzmiały jak baśń.

- Po tym, co tu widzieliśmy – huknął olbrzym – jestem gotów uwierzyć we wszystko. Ale czy naprawdę jesteś porwanym dzieckiem Rane'a Thorfinssona?

- Tak! – zawołała. – Jestem! To mnie porwano, kiedy Tostig Szalony na Orkady i spalił siedzibę Rane'a pod nieobecność jej pana...

- A potem Tostig znikł z powierzchni ziemi... lub morza! – przerwał Athelstane. – On naprawdę był obłąkany. Pływałem z nim na pirackie wyprawy wiele lat temu, gdy byłem jeszcze młodzikiem.

- I przez jego szaleństwo trafiłam na tę wyspę – odparła Brunhilda. – Gdy bowiem złupił brzegi Anglii, płomień w jego mózgu pogał go na nieznane południowe

morza. Płynął wciąż na południe, aż nawet dzikie wilki, które wiódł ze sobą, zaczęły się buntować. Potem sztorm rzucił nas na skały, w innej części wyspy. Rozdarły naszą smoczą łódź tak jak i waszą wczoraj. Tostig i wszyscy jego ludzie zginęli pod falami. Ja uczepiłam się szczątków statku i kaprys bogów wyrzucił mnie, półżywą, na brzeg. Miałam piętnaście lat. To było dziesięć lat temu.

Żyje tu dziwny naród – ciągnęła po chwili milczenia. – Ludzie o brunatnej skórze, znający wiele tajemnic magii. Odnaleźli mnie, leżącą bez zmysłów na piasku. Byłam pierwszą białą istotą, jaką widzieli, więc ich kapłani oświadczyli, że jestem boginią zesłaną im przez morze, któremu oddają cześć. Umieścili mnie w świątyni i składali wyrazy uwielbienia, tak jak reszcie swych przedziwnych bogów. Ich najwyższy kapłan, stary Gothan – niech będzie przekłete jego imię! – nauczył mnie wielu strasznych, niezwykłych rzeczy. Szybko poznałam ich język i wiele sekretów ich kapłanów, a kiedy dorosłam i stałam się kobietą, zbudziło się we mnie pragnienie władzy. Ludzie z północy stworzeni są do rządzenia światem i niegodne jest córki króla morza siedzenie potulnie w świątyni i

przyjmowanie darów z kwiatów i owoców, a czasem i ludzkiej ofiary.

Przerwała na chwilę. Oczy jej błyszczały i doprawdy zdawała się godną córą walecznej rasy, o której mówiła.

- No cóż – ciągnęła. – Znalazł się człowiek, który mnie pokochał, Kotar, młody wódz. Z nim uknułam spisek i w końcu wystąpiłam zbrojnie i zrzuciłam jarzmo starego Gothana. To był groźny okres, czas spisków i kontrspisków, intryg, rebelii i krwawych rzezi. Mężczyźni i kobiety ginęli jak muchy i zaczerwieniły się ulice Bal – Sagoth. W końcu zwyciężyliśmy, Kotar i ja! Dynastia Angar zakończyła swe panowanie wśród nocy pełnej krwi i szaleństwa, a ja, królowa i bogini, objęłam najwyższą władzę na Wyspie Bogów!

Wyprostowała się. Jej twarz jaśniała z dumy, pierś falowała. Turlogh czuł jednocześnie fascynację i odrazę. Widział już, jak wznoszą się i padają władcy, a między wierszami lakonicznej opowieści czytał płynącą krew i rzezie, okrucieństwo i zdradę, wyczuwał pierwotną bezwzględność tego dziewczęcia – kobiety.

- Jeżeli byłaś królową – zapytał – to jak doszło do tego, że spotkaliśmy cię w twoim własnym państwie

ściganą jak zbiegła dziewczka służebna po lesie przez tego potwor?

Brunhilda zagryzła wargi i rumieniec gniewu pojawił się na jej policzkach.

- A co każdą kobietę, niezależnie od jej stanu, doprowadzić może do upadku? Zaufałam mężczyźnie. To był Kotar, mój kochanek, z którym dzieliłam władzę. Zdradził mnie. Kiedy wyniosłam go do najwyższych, zaraz po mnie, godności w królestwie, dowiedziałam się, że w tajemnicy kocha się z inną dziewczyną. Zabiłam ich oboje.

- Jesteś prawdziwą Brunhildą – uśmiechnął się zimno Turlogh. – I co było dalej?

- Lud uwielbiał Kotara. Stary Gothan ich podburzył. To był mój największy błąd, że zostawiłam przy życiu tego starucha że nie śmiałam go zabić. No więc Gothan powstał przeciw mnie tak, jak ja powstałam przeciw niemu. Wojownicy zbuntowali się i wybili tych, którzy byli mi wierni. Mnie schwytali, ale nie odważyli się zamordować. Byłam dla nich boginią i Gothan bał się, że lud zmieni zdanie i przywróci mi koronę, więc jeszcze tej samej nocy kazał doprowadzić mnie do laguny, która oddziela tę część

wyspy. Kapłani przyłączyli ze mną tutaj, aby nagą i bezbronną pozostawić mojemu przeznaczeniu.

- A tym przeznaczeniem było... to? – Athelstane wskazał na wielkie ścierwo u swych stóp.

Brunhilda zadrżała.

- Wiele wieków temu na wyspie żyło dużo takich potworów. Tak mówią legendy. Walczyły z mieszkańcami Bal – Sagoth i pożerały ich całymi setkami. W końcu jednak w centralnej części wyspy wytępiono je zupełnie, a po tej stronie laguny wymarły wszystkie prócz tego, który żyje tu od wieków. W dawnych czasach wyruszały przeciwko niemu zastępy wojowników, ale to był największy z diabelskich ptaków i zabijał wszystkich, którzy próbowali z nim walczyć. Wtedy kapłani ogłosili go bogiem i pozostawili mu tę część wyspy. Nikt tu nie bywa z wyjątkiem tych, których przywozi mu się na ofiarę. Potwór nie mógł przedostać się do tamtej części wyspy, gdyż wody laguny roją się od rekinów, które nawet jego rozerwałyby na strzępy. Przez pewien czas ukrywałam się przed nim wśród drzew, ale w końcu mnie wypatrzył. Resztę znacie. Zawdzięczam wam życie. Co zamierzacie teraz zrobić?

Athelstane spojrział na Turlogha, a ten wzruszył ramionami.

- A co możemy zrobić? Tylko zdechnąć z głodu w tym lesie.

- Ja wam powiem! – zawołała dziewczyna dźwięcznym głosem. Jej oczy rozbliły, gdy bystry umysł rozważał nowe możliwości. – Wśród tego ludu istnieje dawna legenda, mówiąca, że z morza wyjdą ludzie z żelaza i że wtedy miasto Bal – Sagoth upadnie. Wy, w kolczugach i hełmach, wydacie się im, którzy nie znają zbroi, ludźmi z żelaza. Zabiliście Gorth – golkę, ich pasie bóstwo... przychodźcie z morza, jak ja... będą patrzeć na was jak na bogów. Chodźcie ze mną i pomóżcie mi odzyskać moje królestwo! Zrobię z was mych doradców, obsypię zaszczytami! Piękne stroje wspaniałe pałace, najładniejsze dziewczęta – wszystko należeć będzie do was!

Obietnice spłynęły po umyśle Turlogha, nie pozostawiając śladu. Zdumiała go jednak hojność tej oferty. Zapragnął obejrzeć to niezwykle miasto, o którym mówiła Brunhilda, zaś myśl o dwóch wojownikach i dziewczynie, stających do walki o koronę przeciwko

całemu narodowi, poruszyła do głębi tego celtyckiego błędnego rycerza.

- Zgadzą się – rzekł. – A ty, Athelstane?

- Mój brzuch jest pusty – stwierdził olbrzym.- Pokaż mi jedzenie, a wyrąbię sobie do niego drogę przez całą hordę kapłanów i wojowników.

- Prowadź nas do miasta – zwrócił się Dalkazjanin do Brunhildy.

- Naprzód! – krzyknęła, w dzikim uniesieniu podnosząc białe ramiona. – Niech drżą teraz Gothan, Ska i Gelka! Z wami przy boku odzyskam koronę, którą mi wydarli, a tym razem już nie oszczędzę mego wroga! Strącę Gothana z najwyższych blanków, choćby trzewia ziemi zadrżały od wycia jego demonów! Zobaczymy, czy bóg Gol – goroth da sobie radę z mieczem, który odciął nogę Gorth – golki. Odrąbcie jeszcze łeb tego potwora, żeby ludzie widzieli, że pokonaliście ptasie bóstwo. A teraz za mną! Słońce wspina się coraz wyżej, a ja dzisiejszej nocy chcę spać w swoim pałacu.

Cała trójka wkroczyła w cień wielkiego lasu. Przez spletające się wysoko ponad ich głowami gałęzie sączyło się tylko niezwykle, mgliste światło. Nie widać było żadnych

śladów zwierzęcego życia poza nieczęstym barwnie upierzonym ptakiem albo dużą małpą. Były one, jak ich poinformowała Brunhilda, niedobitkami z dawnych epok, niegroźnymi, póki nie zostały zaatakowane.

Po pewnym czasie typ roślinności uległ zmianie. Drzewa stały się niższe i miały cieńsze pnie, wśród gałęzi zaś dało się dostrzec przeróżnego rodzaju owoce. Brunhilda pokazała wojownikom, które z nich nadają się do jedzenia, więc posilali się w marszu. Turloghowi wystarczyło to, ale Athelstane, chociaż pochłaniał ogromne ilości owoców, nie mógł zaspokoić głodu. Były dla niego zbyt skromnym posiłkiem, bo przyzwyczajony był do bardzo solidnego wyżywienia. Nawet u wikingów, lubiących jeść dużo, zdolność tego wielkoluda do pochłaniania ogromnej ilości mięsa i piwa budziła podziw.

- Spójrzcie! – krzyknęła głośno Brunhilda i zatrzymała się. Wyciągnęła rękę. – Oto wieże Bal – Sagoth.

Dostrzegli pomiędzy drzewami białe, migotliwe i najwyraźniej bardzo odległe lśnienie. Wywołało złudne wrażenie zawieszonych wysoko w powietrzu blanków, wokół których unoszą się wełniste chmury. Widok ten poruszył niezbadane głębie skłonnej do mistyki duszy

Celta, a nawet Athelstane ucichł, jakby jego także uderzyło pogańskie piękno i tajemniczość tego obrazu.

Szli przez las, czasami tracąc z oczu dalekie miasto, gdy korony drzew zasłaniały im widok, to znowu oglądali je widoczne wyraźnie z daleka. Wyszli wreszcie na otwarty teren, opadający łagodnie ku brzegowi szerokiej, błękitnej laguny. Dopiero teraz uderzyło ich całe piękno krajobrazu. Na drugim brzegu teren wznosił się w delikatnych fałdach, niby olbrzymie fale dobiegające do położonych kilka mil dalej błękitnych wzgórz. Niewielkie wzniesienie porastała bujna trawa, z rzadka widoczny był jakiś zagajnik, a w dali, z obu stron, ciemniało koliste pasmo gęstego lasu, opasującego, jak twierdziła Brunhilda, całą wyspę. A wśród milczących wzgórz drzemało prastare miasto Bal – Sagoth. Na tle porannego nieba wyraźnie rysowały się białe mury i szafirowe wieże. Dzieląca ich odległość okazała się złudzeniem.

- Czy to królestwo nie jest warte, by o nie walczyć? – zawołała dźwięcznym głosem Brunhilda. – Spieszmy się. Trzeba powiązać ze sobą te suche drzew i zbudować tratwę. Nie pożylibyśmy długo, gdybyśmy spróbowali wpław przepłynąć te rojące się od rekinów wody.

W tym momencie jakaś postać poderwała się z porastających drugi brzeg laguny wysokich traw. Nagi, brunatnoskóry mężczyzna przyglądał im się z rozdziawionymi ustami, a kiedy Athelstane ryknął groźnie i podniósł do góry straszny łeb Gorth – golki, wydał z siebie zduszony okrzyk i jak spłoszona antylopa rzucił się do ucieczki.

- To niewolnik, którego pozostawił tu Gothan, żeby pilnował, czy nie spróbuję przepłynąć laguny – stwierdziła Brunhilda z gniewną satysfakcją. – Niech biegnie do miasta i opowie, co widział. My jednak musimy się pospieszyć, aby Gothan nie zdążył tu przybyć i zagrozić nam drogi.

Turlogh i Athelstane już wzięli się do pracy. W pobliżu leżało wiele powalonych drzew, oczyścili je więc z gałęzi, a pnie powiązali długimi pnączami. W krótkim czasie tratwa była gotowa, surowa wprawdzie i niezgrabna, lecz wystarczająco mocna, by przewieźć ich przez lagunę. Brunhilda odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie stanęli na drugim brzegu.

- Idźmy prosto do miasta – powiedziała. – Niewolnik już tam dotarł i na pewno będą obserwować nas z murów.

Śmiałe działanie to nasza jedyna szansa. Na młot Thora, chciałabym widzieć minę Gothana, kiedy sługa doniósł mu, że Brunhilda powraca, a z nią dwóch niezwykłych wojowników, niosących głowę tego, komu złożono ją w ofiarze.

- Dlaczego nie zabiłaś tego Gothana, kiedy byłaś królową? – spytał Athelstane.

Potrząsnęła głową. W jej wzroku pojawiło się coś na kształt lęku.

- Łatwiej powiedzieć niż wykonać. Połowa mieszkańców go nienawidzi, połowa kocha, a wszyscy się go boją. Najstarsi obywatele opowiadają, że on już był starcem, gdy oni byli jeszcze dziećmi. Lud wierzy, że jest on bardziej bogiem niż kapłanem, a ja sama widziałam, jak dokonywał rzeczy strasznych i tajemniczych, nie leżących w mocy zwykłego człowieka. Byłam marionetką w jego rękach i dotarłam aż na skraj obszarów jego tajemnej wiedzy, patrzyłam jednak na czyny, których widok mroził krew w moich żyłach. Widziałam dziwne cienie przemykające nocą wzdłuż murów, a wędrując po omacku czarnymi podziemnymi korytarzami słyszałam bluźniercze odgłosy i czułam obecność okropnych istot. Raz słyszałam

także straszne wycie gdzieś z głębin pod wzgórzem, na którym wzniesiono miasto Bal – Sagoth.

Brunhilda zadrżała.

- Wielu bogów czci się w Bal – Sagoth, a najpotężniejszym z nich jest Gol – goroth, pan ciemności, od wieków zasiadający w Świątyni Cieni. Kiedy pokonałam Gothana, zakazałam oddawać cześć Got – gorothowi i zmusiałam kapłanów, by sławili jedyne prawdziwe bóstwo, A – Alę, córę morza – mnie. Kazałam silnym ludziom wziąć ciężkie młoty i rozbić wizerunek boga ciemności, lecz tylko młoty skruszyły się od ciosów, w niezwykle sposób raniąc ludzi, którzy je wnieśli. Gol – goroth był niezniszczalny – nawet najmniejsza rysa nie pojawiła się na posągu. Odstąpiłam więc od zamiaru i kazałam zamknąć bramę do Świątyni Cieni. Otworzono ją dopiero wtedy, kiedy zostałam zwyciężona i do władzy znowu doszedł Gothan, do tej pory ukrywający się w jakichś tajemniczych miejscach. Znowu zapanował Gol – goroth, siejąc strach i grozę. Rozbito posąжки A – Ali, a jej kapłani z wyciem ginęli na ołtarzu czarnego boga. Ale teraz zobaczymy!

- Bez wątpienia jesteś Walkirią – mruknał Athelstane.
– Ale nas troje przeciw całemu narodowi to marny stosunek sił, zwłaszcza że wszyscy mieszkańcy Bal – Sagoth to pewno czarownicy i wiedźmy.

- Co tam! – zawołała pogardliwie Brunhilda. – To fakt, wielu jest wśród nich czarnoksiężników, ale chociaż ten lud wydaje nam się dziwny, to w gruncie rzeczy są to głupcy, jak każdy naród. Kiedy Gothan prowadził mnie, uwięzioną, ulicami, pluli na mnie. Zobaczycie teraz, jak odwrócą się od Ski, nowego króla, którego dał im Gothan. Niech tylko zobaczą, że znowu wschodzi moja gwiazda. Bądźcie śmiali, ale ostrożni.

Schodzili długim, łagodnym zboczem i byli już blisko wznoszących się na niezwykłą wysokość murów. Z pewnością pogańscy bogowie budowali to miast, pomyślał Turlogh. Mury, zdawało się, były z marmuru, a przy ich zębatych blankach i smukłych wieżach strażniczych karłały w pamięci Rzym, Damaszek i Bizancjum. Szeroka biała droga prowadziła z doliny na plac u wrót. Trójka awanturników posuwała się nią, czując skupione na sobie spojrzenia setek ukrytych oczu. Mury sprawiały wrażenie opuszczonych, miasto wyglądało jak martwe, lecz owe

przeszywające ich spojrzenia wyczuwali aż nadto wyraźnie.

Stanęli wreszcie u potężnych wrót, które zdumionym wojownikom wydały się wykute z czystego srebra.

- Cesarski łup – mruknął Athelstane. Jego oczy zaśniły. – Krew Thora, gdyby tak była tu z nami dzielna piracka załoga i okręt, który by zabrał zdobycz!

- Uderz w bramę i zaraz się cofnij, żeby czegoś na ciebie nie zrzucili – poleciła mu Brunhilda.

Grzmot uderzającego o portal irlandzkiego topora zbudził echa wśród rozległych wzgórz. Wszyscy troje cofnęli się o kilka kroków. Potężne odrzwia rozwarły się do wewnątrz, odsłaniając niezwykłą grupę ludzi. Biali wojownicy patrzyli zdumieni na barbarzyński przepych. W przejściu stała gromada wysokich szczupłych mężczyzn o brązowej skórze. Ubrani byli jedynie w jedwabne przepaski biodrowe, których kunsztowne wykonanie dziwnie kłóciło się z niemal całkowitą nagością użytkowników. Wysokie, falujące, wielobarwne pióropusze okrywały ich głowy, cenne klejnoty zdobiły połyskujące na ramionach i nogach złote i srebrne bransolety. Zbroi na sobie nie mieli żadnej, lecz każdy trzymał w lewej ręce

tarczę z twardego polerowanego drewna, inkrustowanego srebrem. Uzbrojeni byli we włócznie o wąskich ostrzach, lekkie toporki i długie sztylety, wszystko to wykute ze świetnej stali. Najwyraźniej ci wojownicy wierzyli bardziej w sztukę fechtunku i swoją szybkość niż w brutalną siłę.

Na czoło tej grupy wysunęli się trzech mężczyźni. Od pierwszego rzutu oka zwracali na siebie uwagę. Jednym był szczupły wojownik o jastrzębich rysach twarzy, wysoki prawie jak Athelstane. Nosił na szyi ciężki złoty łańcuch, na którym wisiał dziwny amulet rzeźbiony w zielonym kamieniu. Drugi był młody i spoglądał ponuro. Jego ramiona okrywał mieniący się wszystkimi barwami płaszcz z papuzich piór. Trzeciego z mężczyzn wyróżniała jedynie łatwo dostrzegalna siła osobowości. Nie nosił paradnego stroju ani żadnej broni, prosta przepaska na biodrach była jego jedynym okryciem. On jeden z całego tłumu miał brodę, równie białą jak sięgające ramion włosy. Był stary, bardzo wysoki i chudy, jego wielkie ciemne oczy lśniły, jak gdyby płonął za nimi tajemny ogień. Turlogh wiedział od razu, że jest to Gothan, kapłan Czarnego Boga, roztaczający wokół aury starości i tajemniczości. Jego oczy były jak okna opuszczonej świątyni, za którymi

przelatywały jak upiory jego mroczne i straszne myśli. Celt czuł, że ten starzec zbyt wiele zgłębił zakazanych sekretów, aby pozostać w pełni człowiekiem. Przekroczył bramę, która oddzieliła go od marzeń, pragnień i przeżyć zwykłych śmiertelników. Patrząc w te wielkie, nie mrugające oczy Dalkazjanin czuł, jak dreszcz go przenika, jak gdyby stanął twarzą w twarz z olbrzymim wężem.

Nad nimi, na murach, tłoczyli się milczący ciemnoocy ludzie. Scena została przygotowana, wszyscy oczekiwali krwawego finału. Turlogh poczuł, jak jego puls staje się szybszy. Błysk okrucieństwa zapalił się w oczach Athelstane'a.

Brunhilda wyszła śmiało do przodu. Stała dumnie z wysoko uniesioną głową. Biali wojownicy naturalnie nie mogli zrozumieć mowy, która nastąpiła. Mogli co najwyżej z gestów i wyrazu twarzy domyślać się znaczenia niektórych zdań. Później jednak Brunhilda niemal słowo w słowo powtórzyła im całą dyskusję.

- A więc, ludu Bal – Sagoth – rzekła powoli – jakimi słowami powitacie swą boginię, którą zelżyliście i której nie dochowaliście wiary?

- Czego tu chcesz, fałszywe bóstwo? – zakrzyknął wysoki wojownik, Ska, którego Gothan wyniósł na tron. – Ty, która kpiłaś z obyczajów naszych przodków, sprzeniewierzyłaś się prawom Bal – Sagoth, co starsze są od tego świata, która zamordowałaś swego kochanka i zbezczęciłaś siedzibę Gol – gorotha? Zostałaś skazana przez prawo, króla i boga i pozostawiona w mrocznym lesie z laguną...

- I ja, która także jestem boginią, potężniejszą od wszystkich waszych bogów – przerwała szyderczo Brunhilda – powracam z krainy grozy z głową Gorth – golki!

Na jej znak Athelstane podniósł wysoko wielki łeb z potężnym dziobem. Stłumiony szum dobiegł z blanków, tłum był napięty i zaleźniony.

- Kim są ci ludzie? – Ska zmarszczył brwi i spojrzał na dwóch wojowników.

- To ludzie z żelaza, którzy wyszli z morza! – odrzekła Brunhilda czystym, dźwięcznym głosem. – Istoty, które przybyły, jak głosi proroctwo, by rzucić do swych stóp miasto Bal – Sagoth, zdraźcieccy są bowiem jego mieszkańcy, a kapłani fałszywi!

Na te słowa znów trwożny pomruk dobiegł z tłumu na murach, aż Gothan uniósł swą sępią głowę, a ludzie milkli i kulili się pod lodowatym spojrzeniem jego strasznych oczu.

Ska zmieszał się. W jego umyśle ambicja walczyła o lepsze z zabobonną trwogą.

Turlogh z uwagą przyglądał się Gothanowi. Zdawało mu się, że zna kryjące się za nieruchomą maską twarzy myśli starego kapłana. Mimo nadludzkiej mądrości jego wiedza nie była nieograniczona. Zaskoczył go nieoczekiwany powrót kobiety, której, jak sądził, pozbył się na zawsze, a także przybycie dwóch towarzyszących jej białoskórych gigantów. Nie miał czasu, by przygotować się na ich przyjęcie. Lud sarkał już na okrucieństwo krótkotrwałych rządów Ski. Zawsze wierzyli w boskość Brunhildy, a teraz, gdy powracała z parą wojowników o skórze tej samej barwy co jej skóra, zaczęli przechylać się na jej stronę. Byle drobnostka mogła przeważać i rozstrzygnąć to starcie na korzyść jej albo starego kapłana.

- Ludu Bal – Sagoth! – Brunhilda odskoczyła nagle w tył i podniosła ramiona, zwracając się ku patrzącym na nią z góry twarzom.- Odwróćcie zgubę, dopóki nie jest za

późno. Wypędziliście mnie, pluliście na mnie, zwróciliście się ku mroczniejszym niż ja bogom! Lecz wybaczę wam wszystko, jeżeli nawrócicie się i złożycie mi hołd! Kiedyś pomstowaliście na mnie, nazywaliście krwiożerczą i okrutną! Prawda, byłam surową władczynią, ale czy Ska jest łagodnym panem? Mówiliście, że chłosczę was batem, ale czy Ska głaszcze was papuzimi piórami?

W czasie najwyższego przyptywu, ilekroć księżyc stawał w pełni, ginęła dziewica na mym ołtarzu, ale przed Gol – gorothem, w pierwszą dobę każdej kwadry, o wschodzie i zachodzie księżyca, umierają młodzieńcy i dziewczęta, bo na jego ołtarzu zawsze musi bić świeże ludzkie serce! Ska jest tylko cieniem! To Gotham jest waszym prawdziwym władcą, Gotham, który niby sęp unosi się ponad miastem! Byliście kiedyś potężnym narodem, po wszystkich morzach pływały wasze okręty. Pozostała tylko garstka niedobitków, a i ta szybko topnieje. Głupcy! Wszyscy zginiecie na ołtarzu Gol – gorotha, nim umrze Gotham. To on będzie chodził samotny po ulicach Bal – Sagoth!

- Popatrzcie na niego! – jej głos wzniósł się do krzyku, gdy osiągnęła stan natchnionej pasji. Nawet Turlogh

zadrzał, choć obce słowa nic dla niego nie znaczyły. – Spójrzcie na tego złego ducha z przeszłości! On nawet nie jest człowiekiem! Powiadam wam, to ohydny upiór, którego broda unurzana jest we krwi ofiar tysiąca morderstw! To potwór wcielony, który wyłonił się z mgły wieków, by zniszczyć lud Bal – Sagoth! Wybierajcie! Powstańcie przeciw temu staremu diabłu i jego bluźnierczym bogom, oddajcie cześć swej prawowitej królowej i bogini, a odzyskacie cześć swej dawnej świetności! Odmówcie mi, a spełni się dawne proroctwo i słońce zajdzie dziś za milczące, skruszone ruiny miasta Bal – Sagoth!

Młody wojownik, rozpalony jej porywającą mową, skoczył na parapet.

- Niech żyje A – Ala! – zawołał. – Precz z krwawymi bogami!

Wielu w tłumie podjęło ten okrzyk. Zadźwięczała stal, gdy zaczęły się bójki. Zebrana na murze i na ulicach cizba falowała i burzyła się, a Ska patrzył na to oszołomiony. Brunhilda powstrzymała swych rwących się do działania towarzyszy.

- Stójcie! – krzyknęła. – Niech nikt jeszcze nie uderza! Ludu Bal – Sagoth, jest tradycją sięgającą zarania czasu, że król musi walczyć o swoją koronę! Niech więc Ska skrzyżuje broń z jednym z tych wojowników! Jeżeli zwycięży, uklękne przed nim i pozwolę, by ściał mi głowę! Jeśli przegra, wy uznacie mnie za swą prawowitą królową i boginię!

Z murów rozległ się ryk aprobaty. Ludzie zaprzestali walki zadowoleni, że odpowiedzialność za swe losy mogą rzucić na władców.

- Będiesz walczył, Ska? – spytała drwiąco Brunhilda. – Czy może wolałbyś już teraz, bez dalszych sporów, oddać mi głowę?

- Dziewka! – wrzasnął doprowadzony do szału Ska. – Czaszek tych dwóch durniów będę używał zamiast pucharów do wina, a ciebie każę rozedrzeć dwoma giętkimi drzewami!

Gothan położył mu dłoń na ramieniu i zaczął szeptać coś do ucha, lecz król osiągnął stan, w którym był głuchy na wszystko oprócz swojej wściekłości. Okazało się, że zrealizowane marzenia przeznaczyły mu tylko rolę marionetki tańczącej na sznurku Gothana, teraz zaś

wymykała mu się nawet to pozorna władza, a to dziewczka śmiała mu się w twarz wobec jego poddanych. Praktycznie rzecz biorąc Ska był w tej chwili całkowicie szalony.

Brunhilda zwróciła się do swych sprzymierzeńców.

- Jeden z was musi się z nim zmierzyć.

- Niech to będę ja – powiedział Turlogh. W jego wzroku tańczył płomień bitewnego zapалу. – Wygląda mi na człowieka, który jest szybki jak dziki kot, a Athelstane, choć silny jak byk, jest odrobinę zbyt powolny do takiej roboty...

- Powolny! – przerwał z wyrzutem Athelstane. – Wiesz, Turloghu, jak na człowieka mojej wagi...

- Dostyc! – ucięła rozmowę Brunhilda. – On sam wybierze.

Powiedziała coś do króla. Ten przyglądał im się przez chwilę przekrwionymi oczyma, po czym wskazał na Athelstane'a, który uśmiechnął się radośnie i zdjął miecz z ramienia. Turlogh zaklął i cofnął się. Widać Ska zdecydował, że będzie miał większe szanse na zwycięstwo w walce z tym wyglądającym na powolnego olbrzymem niż z czarnowłosym wojownikiem, którego tygrysia zwinność była aż nadto wyraźna.

- Ten Ska jest bez zbroi – huknął Sas. – Ja także zdejmę hełm i pancerz, żebyśmy się potykali na równych warunkach.

- Nie! – krzyknęła Brunhilda. – Zbroja to twoja jedyna szansa. Mówię ci, ten fałszywy król atakuje z szybkością błyskawicy! Nawet tak jak jesteś, będziesz miał trudności. Zostań w zbroi, powiadam!

- Dobrze, dobrze – burczał olbrzym. – Zostanę, zostanę. Dalej jednak uważam, że to nie jest w porządku. No, ale niech on już staje i kończmy tę zabawę.

Potężny Sas ruszył ciężko w stronę przeciwnika, który okrążał go skulony. Athelstane trzymał swój ciężki miecz oburącz przed sobą, ostrzem ku górze, mając rękojeść nieco poniżej poziomu brody. Taka pozycja umożliwiała mu zarówno cięcie w obie strony, jak i odparowanie nagłego ataku.

Ska odrzucił swą lekką tarczę. Rozum podpowiadał mu, że przy ciosie tak ciężkiej klingi byłaby bezużyteczna. W prawej dłoni trzymał, jak trzyma się strzałkę, wąską włócznię, w lewej lekki ostry toporek. Chciał skończyć tę walkę szybko i chytrze, i była to słuszna taktyka. Lecz Ska nigdy przedtem nie oglądał zbroi i popełnił fatalny błąd

sądząc, że jest ona ozdobą czy też ornamentem; który jego ostrze przebija bez trudności.

Skoczył do przodu, mierząc włócznią w twarz Athelstane'a. Sas z łatwością odparł atak i natychmiast ciął potężnie króla w nogi. Ten odbił się od ziemi przepuszczając świszczące ostrze dołem i z powietrza uderzył w pochyloną głowę olbrzyma. Lekki toporek pękł na kawałki w zderzeniu z hełmem wikinga, a Ska odskoczył z okrzykiem wściekłości.

Teraz Athelstane z zaskakującą szybkością, jak szarżujący byk, runął na wroga. Ska, oszołomiony stratą swej broni, nie był przygotowany na to straszne natarcie. Dostrzegł wznoszącego się nad sobą olbrzyma i zamiast odskoczyć, zaatakował. Ten błąd był ostatni w jego życiu. Włócznia ześliznęła się po pancerzu Sasa nie czyniąc mu szkody, a w tej samej chwili opadło ostrze miecza. Król nie mógł uchylić się przed ciosem, który odrzucił go tak, jak pędzący bawół odrzuca stojącego mu na drodze człowieka. Cztery jardy przeleciał w powietrzu Ska, władca Bal – Sagoth, nim upadł i legł w kałuży krwi i własnych wnętrznościach. Przerażeni widzowie zamarli z rozdziawionymi ustami.

- Odetnij mu głowę! – krzyknęła Brunhilda. Jej oczy lśniły, zaciskała pięści, aż paznokcie wbiły się jej w dłonie. – Nabij ją na swój miecz, żebyśmy mogli wnieść ją do miasta jako symbol naszego zwycięstwa.

Wycierający klingę Athelstane pokręcił głową.

- Nie. To był dzielny wojownik i nie będę okaleczał jego zwłok. Nie był to wielki wyczyn, jako że on był nagi, ja zaś w pełnej zbroi. Wydaję mi się, że gdyby nie to, inaczej mogłaby skończyć się ta walka.

Turlogh popatrzył na zgromadzone tłumy. Ludzie budzili się już z oszołomienia.

- A – Ala! Bądź pozdrowiona, prawdziwa bogini! – wrzeszczeli.

Wojownicy w bramie padli na kolana i uderzyli czołami o ziemię przed wyprostowaną dumnie Brunhildą. Jej pierś falowała od przepełniającej ją radości. To prawda, pomyślał Celt, ona jest kimś więcej niż królową, to kobieta z tarczą, walkiria, jak mówił Athelstane.

Brunhilda zdarła z martwej szyi Ski złoty łańcuch z jadeitowym wisiorem i podniosła go wysoko.

-Ludu Bal – Sagoth! – zawołała. – Widzieliście, jak fałszywy król zginął z rąk tego złotobrodego olbrzyma,

**który będąc z żelaza nie odniósł nawet najmniejszej rany!
Teraz decydujcie: czy uznajecie mnie z własnej i
nieprzymuszonej woli?**

Odpowiedzią był potężny ryk.

**- Uznajemy! Wróć do swego ludu, potężna i
wszechmocna królowo!**

Brunhilda uśmiechnęła się ironicznie.

**- Chodźcie – zwróciła się do swych towarzyszy. –
Teraz będą szaleć, byle tylko okazać mi swą lojalność i
uwielbienie. Już zapomnieli o swej zdradzie. Zaprawdę,
krótka jest pamięć tłumu.**

**Tak, krótka jest pamięć tłumu, myślał Turlogh, gdy
wraz z Athelstane'em przekraczali u boku Brunhildy
bramę miasta, idąc pomiędzy rzędami leżących plackiem
wodzów. Ledwie kilka dni minęło, odkąd równie głośno
wznosili okrzyki na cześć Ski wyzwoliciela, a jeszcze parę
godzin temu tenże Ska, władca życia i śmierci swych
poddanych, zasiadał na tronie, a ludzie padali mu do nóg.
A teraz... Turlogh spojrział na martwe ciało, leżące w
zapomnieniu u srebrnych wrót. Padł na nie cień krążącego
w górze sępa. Celt słuchał wrzasków tłumu i uśmiechał się
gorzko.**

Potężne odrzwia zatrzasnęły się za trójką awanturników. Przed nimi ciągnęła się szeroka biała ulica, od której odbiegały inne, węższe. Miast sprawiało wrażenie zbudowanego chaotycznie. Budowle z białego kamienia stały jedna przy drugiej, wieże wznosiły się ku niebu, szerokie schody prowadziły do pałaców. Dalkazjanin wiedział, że musi istnieć jakiś uporządkowany system, według wzniesiono to miasto, lecz jemu zdawało się ono tylko rzuconą bez ładu ni składu kupą kamieni, metalu i polerowanego drewna. Jego wzrok pobiegł ku gładkiej powierzchni ulicy.

Cizba ludzi ustawiła się w szpaler daleko od bramy. Wydawali potężne, rytmiczne okrzyki. Tysiące nagich mężczyzn i strojnych w barwne pióra kobiet na klęczkach pochylało się, aby dotknąć czołem marmurowych płyt potem, prostując się, wznosili w górę ramiona. Robili to równocześnie, przypominając chylące się na wietrze trawy. W rytmie pokłonów unosił się monotony zaśpiewa, to cichnący, to narastający w ekstatycznym zachwycie. Tak witał lud powracającą boginię A – alę.

Zaraz za bramą Brunhilda zatrzymała się. Podbiegł do niej młody wódz, który pierwszy wznosił okrzyk rebelii na murach. Uklęknął i ucałował jej bosą stopę.

- O, wielka królowo i bogini – powiedział. – Ty wiesz, że Zomar zawsze był ci wierny. Wiesz, walczyłem za ciebie i ledwie uszedłem śmierci na ołtarzu Gol – gorotha.

- Zaiste, byłeś mi wierny, Zomarze – odrzekła Brunhilda wymaganym przy takich okazjach napszonym językiem. – I twa wierność nie pozostanie bez nagrody. Od dnia dzisiejszego jesteś dowódcą mej straży przybocznej.

Po czym dodała, już ciszej:

- Zbierz oddział z członków twojej świty i ludzi, którzy cały czas bronili mojej sprawy, i przyprowadź go do pałacu. Nie chcę ufać nikomu bardziej, niż muszę.

- A gdzie jest staruch z brodą? – spytał Athelstane, który nie zrozumiał ani słowa z tej rozmowy.

Turlogh drgnął i rozejrzał się dookoła. Całkiem zapomniał o czarowniku. Nie zauważył, jak odszedł, a przecież nie znikł. Brunhilda zaśmiała się smętnie.

- Wykradł się, aby spiskować w mroku. On i Gelka zniknęli, gdy tylko padł Ska. On zna tajemne sposoby przybywania i odchodzenia i nikt nie potrafi go zatrzymać.

Na razie możemy o nim zapomnieć, lecz zważcie moje słowa: jeszcze się z nim spotkamy.

Wodzowie przyprowadzili niesioną przez dwóch silnych niewolników pięknie rzeźbioną lektykę. Brunhilda wsiadła do środka.

- Oni boją się was dotknąć – rzekła. – Pytają jednak, czy życzyście sobie, aby was nieść. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziecie pieszo po obu stronach lektyki.

- Krew Thora! – huknął Athelstane, ściskając mocniej miecz, którego nie schował do pochwy. – Nie jestem dzieckiem! Rozwalę łeb każdemu, kto spróbuje mnie nosić!

I tak ruszyła długą białą ulicą Brunhilda, córka Rane'a Thorfinssona z Orkanów, bogini morza, królowa starożytnego Bal – Sagoth. Niosło ją dwóch potężnych niewolników, po bokach kroczyło dwóch białych olbrzymów z obnażoną bronią, za nią szła gromada wodzów, a przed nią rozstępowały się tłumy. Złote trąby grały tryumfalną fanfarę, dudniły bębny, okrzyki wznosiły się pod niebiosa. Dziewczyna z północy całą duszą chłonęła ten strumień glorii, ten pokaz barbarzyńskiego splendoru, upajała się cesarską butą.

Oczy Athelstane'a, patrzące na ten zalew pogańskich wspaniałości, błyszczały zachwytem, ale czarnowłose wojownik zachodu myślał sobie, że nawet w najgłośniejszej triumfalnej wrzawie trąby, bębny i okrzyki obracają się w pył zapomnienia i wieczną ciszę. Królestwa i imperia przemijają jak mgła unosząca się nad morzem. Wśród uciech uczt Baltazara Medowie wyłamują bramy Babilonu. Już teraz unosi się nad tym miastem cień zguby, a fala niepamięci podpływa do stóp tej nie baczącej na nic rasy.

W tak dziwnym nastroju kroczył Turlogh O'Brien obok lektyki i wydawało mu się, że on i Athelstane idą przez umarłe miasto, wśród ciżby mglistych upiorów witających widmową władczynię.

3. Upadek bogów

Nad starożytnym miastem Bal – Sagoth zapadła noc. Turlogh, Athelstane i Brunhilda siedzieli we troje w jednej z komnat pałacu. Królowa na pół leżała na pokrytej jedwabiem sofie, a mężczyźni, siedząc na mahoniowych

krzesłach, zajmowali się potrawami, które na złotych tacach przynosiły niewolnice. Ściany tej komnaty, jak i wszystkich innych w pałacu, wzniesiono z marmuru ozdobionego złotą wolutą. Sufit był z lapis – lazuli, podłoga zaś z inkrustowanych srebrem marmurowych płyt. Ściany udekorowano ciężkimi, aksamitnymi zasłonami i jedwabnymi kilimami, z niedbałą rozrzutnością porozstawiano bogate sofy oraz krzesła i stoliki z mahoniem.

- wiele bym dał za róg piwa, lecz i to wino nie drażni mi podniebienia – stwierdził Athelstane, ze smakiem wychylając złoty dzban. – Oszukałaś nas, Brunhildo. Dałaś nam do zrozumienia, że odzyskanie korony wymagać będzie twardej walki, a tymczasem ja raz ledwie uderzyłem i mój miecz jest tak spragniony jak topór Turlogha, który w ogóle krwi się nie napił. Zapukaliśmy do wrót i ludzie padli na twarze i oddali nam cześć bez żadnego gadania. A potem staliśmy przy twoim tronie w wielkiej sali w tym pałacu, a ty przemawiałaś do tłumów, które przybywały, żeby walić przed tobą głowami o podłogę... na Thora! w życiu jeszcze nie słyszałem takiej paplaniny i takiego trajkotania. Do tej pory dzwoni mi w

uszech. Czego oni chcieli? I gdzie się podział ten magik Gothan?

- Jeszcze twój miecz będzie miał okazję zaspokoić swe pragnienie, Sasie – odparła ponuro dziewczyna. Oparła brodę na dłoni i spoglądała smętnym wzrokiem na obu mężczyzn. – Gdybyście byli tak jak ja doświadczeni w tej grze o miasta i trony, wiedzielibyście, że zdobycie korony może być łatwiejsze niż jej utrzymanie. Nasze nieoczekiwane przybycie z głową ptasiego boga i to, że zabiłeś Skę, sprawiło, że tym ludziom grunt usunął się spod nóg. A co do reszty... udzielałam audiencji, jak zauważyłeś, choć nie rozumiałeś, o czym była mowa. Ludzie przychodzili, by zapewnić mnie o swej niezachwianej lojalności. Łaskawie wybaczyłam im wszystko, lecz nie jestem głupia. Gdy tylko da się im trochę czasu na zastanowienie, znowu zaczną sarkać. Gothan kryje się gdzieś w cieniu i szykuje zgubę dla wszystkich, tego możesz być pewien. Całe to miasto jest poryte podziemnymi korytarzami tajemnymi przejściami, o których tylko kapłani wiedzą. Nawet ja, mimo że chodziłam po nich, nie wiem, gdzie szukać ukrytych wejść. Gothan zawsze mnie tam wprowadzał z zawiązanymi

oczyma. Wydaje się, że na razie ja jestem górą. A do was ludzie odnoszą się z większym respektem niż do mnie. Myślą, że wasze pancerze i hełmy to części waszych ciał i że jesteście niewrażliwi na ciosy. Nie zauważyliście, jak nieśmiało dotykali zbroi, kiedy przechodziliśmy wśród tłumów? I jacy byli zdumieni, kiedy upewnili się, że to naprawdę stal?

- Albowiem mądrzy w niektórych dziedzinach są głupcami w innych – stwierdził Turlogh. – Kim oni są i skąd tu przybyli?

- Ten lud jest tak stary – odrzekła Brunhilda – że nawet najstarsze legendy nie dają żadnych wskazówek co do ich pochodzenia. Przed wiekami byli częścią potężnego imperium, władającego na wielu wyspach tego morza. Część z tych wysp zatonała, znikła wraz ze wzniesionymi na nich miastami i ich mieszkańcami. Później nadeszły czerwonoskóre dzikusy i jedno miasto po drugim wpadało w ich ręce. Wreszcie tylko ta wyspa pozostała nie zdobyta, zaś ludzie osłabli i zapomnieli wiele dawnych umiejętności. Nie było już portów, do których mogliby pływać, a więc ich statki gniły przy nadbrzeżach, które także zmieniły się w próchno. Za pamięci żyjących żaden z synów Bal – Sagoth

nie żeglował po morzu. Co pewien czas czerwoni ludzie spadają na Wyspę Bogów, przemierzywszy ocean w swych długich, wojennych czólnach, którym na dziobach mocują szczyzące zęby czaszki. Dotąd zawsze udawało się ich odeprzeć – nie potrafią pokonać murów. Mimo to przybywają nadal i strach przed ich najazdem wiecznie unosi się nad wyspą.

Nie ich jednak się lękam, ale Gothana, który w tej chwili albo jak odrażający wąż prześlizguje się czarnymi tunelami, albo w swych podziemnych komorach szykuje jakieś okropieństwa. W jaskiniach pod wzgórzami, do których prowadzą podziemne korytarze, odprawia straszne, piekielne czary. Ich obiektem są zwierzęta – węże, pająki i wielkie małpy, a także ludzie, czerwonoskórzy jeńcy i nieszczęśnicy jego własnej rasy. Głęboko w swych ciemnych grotach zmienia ludzi w bestie, a bestie w półludzi, to, co zwierzęce, i to, co człowiecze, miesza się z sobą w jego przerażających tworach. Nikt nie śmie nawet się domyślać, jakie monstra mnożą się tam w ciemnościach ani jakie wcielenia grozy i bluźnierstwa pojawiły się na świecie w ciągu wieków, odkąd Gotham tworzy swe okropieństwa. Nie jest on bowiem taki, jak inni

ludzie, gdyż odkrył sekret wiecznego życia. Raz jednak przywołał do istnienia stworzenie, którego nawet on się lęka, mamroczące, mlaszczące Coś, co trzyma na łańcuchu w najdalszej jaskini, gdzie nie dotarł nikt prócz niego. Wypuściłby na mnie tego potwora, gdyby tylko się odważył...

Ale robi się późno. Pójdę się położyć. Będę spała w sąsiedniej komnacie. Te drzwi są jedynym z niej wyjściem. Nie biorę z sobą nawet niewolnicy, gdyż nie ufam całkowicie nikomu z tych ludzi. Wy zostaniecie tutaj. Drzwi są wprowadzicie zaryglowanie, ale lepiej niech jeden z was czuwa, w czasie gdy drugi będzie spał. Zomar i jego strażnicy pilnują korytarza, ale będę czuła się pewniej mając pomiędzy sobą a resztą miasta dwóch ludzi z mojej krwi.

Powstała i obrzuciwszy Turlogha dziwnie powłóczyłym spojrzeniem weszła do swej komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Athelstane przeciągnął się i ziewnął.

- No cóż, Turloghu – powiedział leniwie. – Fortuna ludzka jest zmienna jak morze. Ostatniej nocy ja byłem wynajętym wojownikiem w bandzie rabusiów, ty zaś

jeńcem. Dziś o świcie byliśmy skaczącą sobie do gardeł parą rozbitków. Teraz zawarliśmy braterstwo miecza i jesteśmy najbliższymi ludźmi królowej. A wydaje mi się, że twoim przeznaczeniem jest korona.

- A to dlaczego?

- A co, nie zauważyłeś, jak patrzyła na ciebie ta dziewczyna z Orkanów? Wierz mi, coś więcej niż przyjaźń kryje się w jej spojrzeniu na twoje czarne loki i smagłą twarz. Mówię ci...

- Dosyć! – przerwał szorstko Turlogh. Stara rana w jego sercu zaboląła na nowo. – Kobiety u władzy są jak wilki o białych kłach. To przez złość kobiety...

- Dobrze, dobrze – rzekł pobłaźliwie Athelstane. – Więcej jest na tym świecie dobrych kobiet niż złych. Wiem, to babskie intrygi uczyniły cię wygnańcem. Powinniśmy stworzyć niezłą kompanię. Ja też jestem banitą. Gdybym tylko pokazał swoją twarz w Wessex, wkrótce oglądałbym okolicę z jakiegoś solidnego dębowego konaru.

- Co właściwie zagnało cię na ścieżkę wikingów? Przecież Sasowi tak dalece zapomnieli kunszt żeglugi, że kiedy król Alfred ruszył na wojnę z Duńczykami, musiał

wynając fryzyjskich korsarzy, żeby zbudowali i obsadzili jego okręty.

Athelstane wzruszył swymi potężnymi ramionami i zabrał się do ostrzenia sztyletu.

- Zawsze ciągnęło mnie morze, nawet kiedy byłem jeszcze gorącogłowym dzieciakiem w Wessex. Jako młodzieniec zabiłem pewnego młodego earla i musiałem uciekać przed zemstą jego rodu. Znalazłem schronienie na Orkadach i stwierdziłem, że życie wikingów bardziej mi odpowiada niż życie mojego ludu. wróciłem jednak, by walczyć przeciwko Kanutowi. Kiedy Anglia poddała się jego władzy, oddał mi dowództwo swoich wojowników. To sprawiło, że Duńczycy stali się zazdrośni o zaszczyt ofiarowany Sasowi, który kiedyś z nimi walczył. Sasi zaś pamiętali, że kiedyś musiałem uciekać z Wessex, i szeptali, że zdobywcy zbyt dobrze mnie traktują. Aż jednej nocy podczas uczyty pewien saski than i pewien duński jarl wyciągnęli przeciw mnie swe gorące miecze, a ja zapomniałem się i ubiłem ich obu. I tak Anglia znów zamknęła... się przed... mną i... wróciłem... na... ścieżkę... wikingów...

Głos Athelstane'a ucichł. Ręce opadły mu bezwładnie, a osełka i sztylet stuknęły o podłogę. Opuścił głowę na swą szeroką pierś i zamknął oczy.

- Za dużo wina – mruknął Turlogh. – Ale niech się prześpi. Ja będę czuwał.

Nie zdążył jednak wypowiedzieć tych słów do końca, gdy poczuł przyływ niezwykłego znużenia. Rozparł się na krześle. Powieki zaciążyły mu, a sen wbrew wysiłkom woli mgłą zasnuwał umysł. Siedział tak i widział we śnie niezwykłą scenę. Jedna z ciężkich zasłon na ścianie naprzeciw drzwi zafalowała gwałtownie. Wysunął się zza niej przerażający stwór, który śliniąc się ruszył w jego stronę. Turlogh przyglądał mu się apatycznie. Wiedział, że śni, i jednocześnie zdumiewał się niezwykłością koszmaru. Potwór w groteskowy sposób przypominał sękatego, pokrzywionego człowieka, ale jego twarz była pyskiem bestii. Skradał się bezszelestnie, obnażając żółte kły. Spod wystających łuków brwiowych błyszczały diabelsko małe przekrwione oczka. Było w tej postaci coś ludzkiego – ten stwór nie był ani człowiekiem, ani małpą, lecz jakimś przeciwnym naturze połączeniem ich obu.

Wstrętna istota zatrzymała się przed Dalkazjaninem, a gdy sękaty paluchy sięgnęły do jego gardła, ten ze zgrozą pojął nagle, że to wcale nie sen, ale straszna rzeczywistość. Rozpaczliwym wysiłkiem woli zerwał krępujące go niewidzialne pęta i rzucił się w bok. Łapa zacisnęła się w pustce. Mimo swej szybkości Celt nie zdołał uniknąć błyskawicznego wymachu kosmatych ramion. W chwilę później przetaczał się po podłodze spleciony w śmiertelnym uścisku ze stworem, którego ścięga były niby giętka stal.

Straszliwa walka rozgrywała się w absolutnej ciszy, przerywanej jedynie odgłosem wciąganego z wysiłkiem do płuc powietrza. Turlogh zdołał wepchnąć lewe przedramię pod małpi pysk i utrzymywał przerażające kły z dala od swej krtani, na której zaciskały się palce potwora. Athelstane z opuszczoną głową spał ciągle na krześle. Turlogh próbował krzyknąć na niego, lecz włochate łapska tłumiły jego głos i w szybkim tempie wyciskały z niego życie. Kontury komnaty zacierały się w czerwonej mgle falującej przed oczyma, które nie potrafiły już zogniskować spojrzenia. Zaciśnięta prawą pięścią jak żelaznym młotkiem tłukł rozpaczliwie w pochylony nad

sobą straszny pysk. Pękały od jego ciosów zęby bestii, spływała krew, lecz wciąż błyszcząły złowrogo czerwone ślepie, a szponiaste paluchy zaciskały się coraz mocniej i mocniej... aż dzwon w uszach Turlogha obwieścił odejście jego duszy.

Kiedy jednak pogrązał się już w półnieświadomości, opadająca bezwładnie dłoń natrafiła na przedmiot, w którym jego mózg wojownika, choć otępiały, rozpoznał upuszczony przez Athelstane'a sztylet. Uderzył ostatkiem sił, na ślepo, i poczuł, że straszne palce rozluźniły uścisk, a nowe życie i świeże siły napływają do jego ciała. Przetoczył się i legł na swym przeciwniku. Poprzez wolno się rozpraszającą czerwoną mgłę zobaczył wijącego się pod nim małpoluda i raz po raz wbijał sztylet, aż monstrum znieruchomiło z szeroko rozwartymi oczami.

Wstał zataczając się. Kręciło mu się w głowie, dyszał ciężko, wszystkie jego mięśnie dygotały. Oszołomienie mijało z wolna. Z ran na szyi obficie płynęła krew. Zauważył ze zdziwieniem, że Sas śpi ciągle, i nagle znowu poczuł, jak zalewa go fala niezwykłego zmęczenia i znużenia, które przedtem odebrało mu siły. Pochwycił topór i z wysiłkiem strząsnął z siebie senność. Ruszył w

stronę zasłony, zza której wyszedł małpolud. Promieniująca stamtąd subtelna moc była niby fizyczna przeszkoda. Ociężały, z trudem przeszedł przez komnatę i stanął przed zasłoną. Poczuł straszliwą siłę złej woli, atakującą jego wolę, grożącą jego duszy, próbującą zniewolić ciało i umysł. Po raz trzeci zmusił się do wysiłku i całym ciężarem ciała zawisł na płachcie materiału, zrywając ją ze ściany. Przez moment tylko spoglądał na dziwną półnągą figurę w pelerynie z papuzich piór i falującym pióropuszu na głowie. Potem, gdy z pełną mocą uderzył go hipnotyczny wzrok tamtego, zacisnął powieki i na ślepo zadał cios toporem. Poczuł jak ostrze grzęźnie w ciele. Teraz dopiero otworzył oczy i popatrzył na leżące w rosnącej kałuży krwi u jego stóp martwe ciało z rozplataną czaszką.

Athelstane zerwał się gwałtownie, chwytając miecz.

- Co?... – zająknął się obrzuciwszy komnatę spojrzeniem. – Turlogh, co tu się działo? Krew Thora! To jest jakiś kapłan, ale co to za ciało?

- To jeden z demonów tego wstrętnego miasta – odparł Celt wyrywając mocno wbite ostrze topora. – Wydaje mi się, że Gothanowi znów się nie powiodło. Ten

tutaj stał za zasłoną i zaczarował nas. Rzucił na nas zaklęcie snu...

- Tak jest, spałem – Sas pokiwał głową, zdumiony. –
Ale jak tu weszli?

- Za zasłoną musi być tajne przejście, chociaż nie
mogę go znaleźć...

- Słuchaj!

Z komnaty królowej dobiegł niewyraźny odgłos
szamotania. Był tak słaby, że zdawał się zwiastować rzeczy
straszne.

- Brunhildo! – ryknął Turlogh.

Odpowiedział mu dziwny bulgot. Naparł na drzwi,
lecz były zamknięte. Gdy wzniosł topór, by wyrąbać sobie
przejście, poczuł, jak Athelstane odsuwa go na bok.
Wielkolud uderzył w drzwi całym ciężarem swego ciała.
Deski trzasnęły i Sas poprzez ich szczątki wpadł do
komnaty i straszliwy ryk wyrwał się z jego ust. Ponad jego
ramieniem Turlogh zobaczył scenę przypominającą
deliryczny koszmar. Brunhilda, królowa Bal – Sagoth,
szamotała się bezradnie w uścisku czarnego cienia rodem
ze straszego snu. Potem wielka, ciemna sylwetka zwróciła
ku nim swe zimne, lśniące oczy i Celt pojął, że to żywe

stworzenie. Stało jak człowiek na dwóch potężnych niby
pnie drzew nogach, ale kształtem nie przypominało ani
człowieka, ani zwierzęcia, ani diabła. Domyślił się, że to
właśnie było monstrum, które nawet Gotham lękał się
wypuścić na swych wrogów, arcyptwór powołany do
życia przez demonicznego kapłana w głębi ciemnych jaskiń
grozy. Jaka upiorna wiedza była do tego konieczna, jakie
ohydne krzyżówki istot ludzkich i zwierzęcych z
beziemiennymi kształtami zamieszkującymi otchłanie
ciemności?

Brunhilda szamotała się, trzymana jak dziecko na
rękach, a kiedy stwór, by się bronić, zdjął swą niekształną
łapę z jej białej szyi, z bladych ust dziewczyny wyrwał się
mrożący krew w żyłach wrzask. Athelstane, pierwszy w
konnacie, wyprzedził Celta. Zdawał się karłem w
porównaniu do wznoszącej się nad nim sylwetki. Mimo to
ściskając oburącz rękojeść miecza pchnął od dołu. Klinga
wbiła się w ciemne cielsko i gdy Sas wyciągnął ją,
zakrwawioną, stwór zachwiał się. Rozpętało się piekielne
pandemonium wrzasku. Ohydny ryk wzbudził echa w
pałacu i ogłuszył tych, którzy go usłyszeli. Turlogh już
podbiegał ze wzniesionym do ciosu toporem, lecz potwór

wypuścił dziewczynę i zataczając się przebiegł przez komnatę, by zniknąć w czarnym otworze ziejącym w jednej ze ścian. Oszałały z furii Athelstane rzucił się za nim.

Dalkazjanin także chciał pobiec, lecz Brunhilda zarzuciła mu na szyję swe białe ramiona i oplotła go uściskiem, którego nawet on nie mógł łatwo rozerwać.

- Nie! – krzyknęła. Przeważenie płonęło w jej spojrzeniu. – Nie goń za nim tym strasznym korytarzem. On prowadzi do samego piekła. Ten Sas nigdy nie wróci. Nie pozwolę, byś podzielił jego los!

- Puść mnie, kobieto! – ryknął Turlogh w zapamiętaniu. Starał się uwolnić nie robiąc jej krzywdy. – Mój towarzysz być może walczy teraz o życie!

- Poczekaj, aż przywołam strażę! – zawołała, ale Turlogh odepchnął ją i skoczył do tajnego przejścia.

Brunhilda uderzała w jadeitowi gong, aż echa rozległy się w pałacu. Z korytarza dobiegły głośnie łomoty.

- Czy coś ci grozi, królowo? – spytał głos Zomara. – Czy mamy wyważyć drzwi?

- Szybciej! – krzyknęła. Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

Turlogh, nie troszcząc się o nic, pędził poprzez mrok korytarza. Przez pewien czas słyszał przed sobą śmiertelny ryk rannego potwora i dzikie okrzyki Athelstane'a, lecz wkrótce stłumiła je odległość. Dotarł do wąskiego przejścia, słabo oświetlonego płonącymi we wnękach pochodniami. Plecami do góry leżał tu przystrojony w barwne pióra brązowoskóry mężczyzna z czaszką rozłupaną jak skorupka jajka.

Turlogh O'Brien nie wiedział, jak długo podążał przyprawiającymi o zawrót głowy skrętami mrocznego korytarza. Z obu jego stron odbiegały węższe przejścia, lecz nie zwracał na nie uwagi trzymając się głównego szlaku. Wreszcie przeszedł pod łukiem bramy i znalazł się w niezwykłym ogromnym pomieszczeniu.

Masywne kolumny podtrzymywały mroczne sklepienie na takiej wysokości, że wydawało się ciemną chmurą zawieszoną na tle nocnego nieba. Za czarnym, poplamionym krwią ołtarzem wznosiła się ogromna statua, odrażająca i złowroga. Bóg Gol – goroth! To musi być on. Dalkazjanin tylko jeden rzut oka poświęcił mającemu w mroku posągowi. Przed nim dostrzegł niezwykłą scenę. Wsparty na swym wielkim mieczu, Athelstane spoglądał

na rozciągnięte u jego stóp w kałużach krwi dwie postacie. Nie wiadomo jakie przerażające zaklęcia powołały do życia Czarnego Stwora, ale dość było jednego pchnięcia angielskiej klingi, by wepchnąć go z powrotem w przedsionek piekła, skąd się wynurzył. Potwór leżał przygniatając ciało swej ostatniej ofiary – chudego, siwobrodego mężczyzny, z którego oczu, nawet po śmierci, emanowało intensywne zło.

- Gotham! – wykrzyknął zdumiony Turlogh.

- Tak, to ten kapłan – potwierdził Sas. – Byłem blisko tego trolla, czy co to właściwie jest, przez całą drogę korytarzem, ale chociaż jest taki wielki, uciekał jak jeleń. Raz jeden taki w pelerynie z piór próbował zagrozić mi drogę, ale stwór nie zatrzymując się nawet na chwilę zmiażdżył mi czaszkę. W końcu wpadliśmy do tej świątyni. Następowalem mu na pięty z mieczem uniesionym do śmiertelnego cięcia, ale, krew Thora! kiedy zobaczył przy ołtarzu tego starucha, zawył straszliwie i rozdarł go na strzępy, po czym zdechł sam z siebie. Wszystko to stało się w jednej chwili, zanim zdążyłem dopaść go i uderzyć.

Celt przyjrzał się wielkiej, bezkształtnej sylwetce. Nawet przyglądając się z tak bliska nie potrafił choćby w przybliżeniu określić natury stwora. Odniósł jedynie mgliste wrażenie ogromnych rozmiarów i jakiegoś nieludzkiego zła tego monstrum, które jak rozległa ciemna plama leżało rozciągnięte na marmurowej posadzce. Bijące pośród bezksiężycowych otchłani czarne skrzydła na pewno rozpościerały się nad nim w chwili narodzin, a upiorne dusze bezimiennych demonów wstąpiły w jego istotę.

Tymczasem Brunhilda wybiegła z ciemnego korytarza z Zomarem i strażnikami. A zza prowadzących na zewnątrz świątyni wrót i z sekretnych kryjówek wynurzyli się inni: kapłani w pierzastych pelerynach i wojownicy, aż wielki tłum zgromadził się w Świątyni Ciemności.

Królowa od razu domyśliła się, co tutaj zaszło, i krzyknęła z dzikiej radości. Straszny blask zapalił się w jej oczach i ogarnęło ją dziwne szaleństwo.

- Nareszcie! – zawołała trącając butem ciało swego największego wroga. – Nareszcie jestem prawdziwą panią Bal – Sagotn! Do mnie teraz należą sekrety tajemnych dróg! Własna krew zmoczyła brodę starego Gothana!

W dzikim tryumfie wzniosła ramiona i podbiegła do mrocznego boga, w zapamiętaniu wykrzykując zniewagi. I właśnie w tym momencie świątynia zadrżała! Ogromny posąg zakołysał się i nagle runął do przodu tak, jak pada wysoka wieża. Turlogh krzyknął i skoczył w przód, lecz wtedy z hukiem, jak gdyby cały świat rozpadał się na kawałki, bóg Gol – goroth runął na zmarłą bez ruchu kobietę. Wielka statua pękła na tysiąc części, na zawsze kryjąc przed oczyma ludzi Brunhildę, córkę Rane’a Thorfinssona, królową Bal – Sagoth. Spod stosu gruzów wypłynął szeroki strumień krwi.

Wojownicy i kapłani zmarli, ogłuszeni hukiem, oszołomieni katastrofą. Lodowate palce lęku dotknęły karku Turlogha. Czy to ręka zmarłego popchnęła tę olbrzymią masę? Gdy padła, Celtowi wydało się, że przez mgnienie nieludzkie rysy ułożyły się na podobieństwo twarzy martwego Gothana.

Wszyscy stali w milczeniu, gdy akolita Gelka dostrzegł okazję i pochwycił ją.

- Gol – goroth przemówił! – wrzasnął. – Zmiażdżył fałszywą boginię! Była tylko nikczemną śmiertelniczką! I ci dwaj obcy także są śmiertelni! Patrzcie, on krwawi!

Kapłan dźgnął palcem plamę zaschniętej na szyi Turlogha krwi. Dziki ryk podniósł się w tłumie. Oszołomieni, zdumieni szybkością i znaczeniem ostatnich wydarzeń, ludzie przypominali wściekłe wilki, gotowe we krwi utopić wszelkie wątpliwości i lęki. Wznosząc lśniący toporek Gelka rzucił się na Turlogha, któryś zaś z jego zwolenników wbił nóż w plecy Zomara. Celt nie rozumiał krzyków, ale wyczuł wiszącą w powietrzu śmiertelną groźbę dla siebie i Athelstane'a. Powalił atakującego Gelkę ciosem, który rozciął rozwiany pióropusz wraz z ukrytą pod nim czaszką. W chwilę potem tuzin lanc pękło uderzając o jego tarczę, zaś napór ciżby przycisnął go plecami do wielkiego filaru. Wtedy wolniej myślący Sas, który przez ułamek sekundy, który trwało to zajście, stał oszołomiony, ocknął się i wybuchnął straszliwą furią. Ryknął dziko i zatoczył młynka swym potężnym mieczem. Ostrze ze świstem odcięło głowę, rozcięło klatkę piersiową i ugrzęzło w kręgosłupie. Trzy trupy zwały się jeden na drugi i nawet porwani gorączką starcia ludzie krzyknęli zdumieni siłą tego pojedynczego cięcia.

Mimo tego oszaleli mieszkańcy Bal – Sagoth, niby brunatna, ślepa fala wściekłości runęli na swych wrogów.

Strażnicy zabitej królowej wyginęli co do jednego, w strasznym ścisku nie mając możliwości zadania ciosu. Pokonanie dwóch białych wojowników okazało się jednak niełatwym zadaniem. Oparci plecami o siebie cięli i kłuli; miecz Athelstane'a był jak piorun śmierci, topór Turlogha jak błyskawica. Otoczeni morzem wściekłych brązowych twarzy i błyskających ostrzy, powoli wyrąbywali sobie drogę do wyjścia. Wojownikom Bal – Sagoth przeszkadzała ich liczba, gdyż nie mieli miejsca na dokładne plasowanie swych ciosów, podczas gdy klingi obu żeglarzy oczyszczały przed nimi pusty, krwawy krąg.

Pozostawiając po bokach straszny wał trupów towarzysze wycinali sobie wyjście przez rozwrzeszczany tłum. Świątynia Ciemności, scena wielu krwawych czynów, zbryzgana była posoką, przelaną niby ofiara dla jej powalonych bogów. Ciężka broń białych wojowników siała spustoszenie między ich nagimi, lżejszej budowy przeciwnikami, zaś zbroje osłaniały ich własne ciała. Za bo ich ramiona, nogi i twarze było pocięte i poranione wznoszonymi w zapamiętaniu ostrzami. Zdawało się, że sama liczba wrogów wystarczy, aby pokonać ich, zanim zdolają dotrzeć do wyjścia.

A potem byli już przy drzwiach. Brnatnoskórzy wojownicy nie mogli już atakować ze wszystkich stron i po desperackiej wymianie ciosów cofnęli się, by zyskać chwilę wytchnienia. Przed progiem pozostał stos okaleczonych trupów. W tym momencie przyjaciele odskoczyli w tył, do korytarza i pochwycawszy ciężkie, spizowe odrzwia zatrzęsęli je tuż przed starającymi się temu zapobiec wrogami. Athelstane zapierając się potężnymi nogami utrzymywał je zamknięte, odpierając połączone wysiłki nieprzyjaciół, dopóki Turlogh nie znalazł i nie założył blokującej drzwi sztaby.

- Thorze! – sapnął Sas i otrząsnął krew z twarzy. Krople opadły niby czerwony deszcz. – To była niezła zabawa. Co teraz, Turloghu?

- Prędko, tym korytarzem! – rzucił Dalkazjanin. – Zanim nadejdą od tamtej strony i schwytają nas w potrzask przy tych drzwiach. Na szatana, chyba całe miasto powstało! Posłuchaj tylko tych wrzasków!

Istotnie, gdy pędzili mrocznym korytarzem, zdawało im się, że rebelia i wojna domowa ogarnęły całe Bal – Sagoth. Słyszeli szcęk stali, krzyki mężczyzn, wrzaski kobiet i zagłuszające wszystko przeraźliwe wycie. Na

końcu korytarza dostrzegli ponury odbłask, a potem, kiedy Celt skręcił za róg i wybiegł na otwarty dziedziniec, z góry skoczyła na niego ledwie widoczna w ciemnościach postać i ciężkie ostrze z nieoczekiwaną siłą uderzyło o jego tarczę. Niewiele brakowało, by się przewrócił, lecz odzyskał równowagę i odpowiedział ciosem. Górne ostrze topora wbiło się w ciało pod sercem napastnika, który runął Turloghowi do stóp. W rozświetlającym ciemność blasku dostrzegł, że jego ofiara różni się od brunatnoskórych wojowników, z którymi walczył do tej pory. Ten mężczyzna był nagi, potężnie umięśniony, a jego skóra miała barwę raczej miedzi niż brązu. Wysunięta zwierzęca szczeka i pochyle czoło nie wskazywały na wyrafinowanie i inteligencję mieszkańców Bal – Sagoth, a jedynie na brutalne okrucieństwo. Obok ciała leżała ciężka, prymitywnie ukształtowana maczuga.

- Na Thora! – krzyknął Athelstane. – Miasto płonie!

Turlogh rozejrzał się. Stali na czymś w rodzaju podwyższonego dziedzińca, z którego szerokie schody prowadziły na ulicę. Z tego dogodnego do obserwacji punktu wyraźnie widzieli straszny koniec miasta Bal – Sagoth. Płomienie wznosiły się wysoko, a w ich czerwonym

blasku maleńkie figurki ludzi biegały tam i z powrotem, padały i ginęły – niby marionetki tańczące w rytm melodii Czarnych Bogów. Poprzez huk pożaru i grzmot padających murów słyszeli śmiertelne krzyki i wrzask straszliwej uciechy. Ulice roily się od nagich, miedzianoskórych diabłów, które w krwawej agonii szaleństwa paliły, gwałciły i mordowały.

Czerwonoskórzy z wysp! Tysiące ich wylądowały nocą na Wyspie Bogów. Biali przybysze nigdy się nie dowiedzieli, czy to zdrada czy podstęp pozwoliły im przedostać się przez mury. Teraz jednak pędzili przez zasłane ciałami ulice, masową rzezią sycąc swoją żądzą krwi. Nie wszystkie zwłoki rozciągnięte na spływających czerwienią ulicach miały brązową skórę. Mieszkańcy skazanego na zagładę miasta walczyli z odwagą rozpacz, lecz ich przeciwnicy mieli przewagę zarówno liczby, jak i zaskoczenia i męstwo to było daremne. Czerwonoskórzy byli jak spragnione krwi tygrysy.

- Patrz, Turloghu! – zawołał Athelstane. Stał z rozwianą brodą i płomieniem w oczach. Szaleństwo rozgrywających się przed nimi zdarzeń rozpaliło taką samą pasję w jego duszy. – Świat się kończy! I my weźmy

w tym udział! Nim zginiemy, napoimy nasze ostrza! Po
czyjej stronie będziemy walczyć, brązowych czy
czerwonych?

- Spokojnie! – warknął Celt. – Jedni i drudzy
poderzną nam gardła. Musimy przebić się do bramy, a oni
niech idą do diabła. Nie mamy tu przyjaciół. Tędy, tymi
schodami. Tam, nad dachami, dostrzegam łuk bramy.

Zbiegli po stopniach, wbiegli w wąską uliczkę i
popędzili w kierunku, który wskazywał Dalkazjanin.
Wokół szalała krwawa rzeź. Dym przesłaniał teraz
wszystko, a w mroku bezładnie biegające grupki mieszały
się, ścierały i rozpraszały, pozostawiając rozciągnięte na
spękanych płytach skrwawione ciała. Przypominało to
koszmarny sen, w którym płasają i skaczą demoniczne
sylwetki, wyłaniające się nagle z rozświetlanych pożarem
kłębów dymu i równie nagle znikające. Buchające z obu
stron płomienie opalały włosy biegnącym wojownikom. Z
przerazającym hukiem zapadały się dachy, a walące się
mury napępiały powietrze gradem śmiertelnie groźnych
pocisków. Wrogowie uderzali na ślepo, a obaj żeglarze
zabijali ich nie wiedząc nawet, jakiego koloru jest ich
skóra.

Nowy ton odezwał się w zgiełku. Oślepieni dymem, zagubieni wśród krętych uliczek, czerwonoskórzy wpadali w swe własne sidła. Ogień nie wybiera, może spalić zarówno podpalacza, jak zamierzoną ofiarę; padający mur jest ślepy. Napastnicy porzucili swą zdobycz i biegali z wyciem, szukając drogi ucieczki. Wielu rezygnowało z tych daremnych prób i niby oślepiiony tygrys zamieniało ostatnie chwile swego życia w szal krwawej rzezi.

Z nieomylnym wyczuciem kierunku, którego nabywa się żyjąc życiem wilka, Turlogh pędził ku miejscu, gdzie powinna znajdować się brama. W krętych uliczkach, przesłoniętych kłębamii dymu, opadły go jednak wątpliwości.

Nagle okropny krzyk doleciał z rozświetlonego płomieniami cienia w pobliżu. W pole widzenia wbiegła zataczając się naga dziewczyna i padła u nóg Celta. Krew tryskała z rany na jej piersi. Wyjający, ubabrany czerwienią diabeł, który biegł tuż za nią, szarpnął jej głowę do tyłu i poderżnął gardło. Ułamek sekundy później topór Dalkazjanina strącił mu z ramion jego własną głowę, która szczerząc zęby potoczyła się po ziemi.

W tej właśnie chwili nagły podmuch wiatru rozwiął przesłaniający wszystko dym i obaj towarzysze zobaczyli przed sobą otwarte wrota, w których kłębili się czerwoni wojownicy. Z dzikim okrzykiem rzucili się do ataku i po chwili zaciętej walki, która zasłała przejście ciałami, znaleźli się na zewnątrz murów. Popędzili ku odległemu pasmu lasu i leżącej za nim plaży. Nadchodzący wschód barwił niebo czerwienią przed nimi, z tyłu dobiegał budzący dreszcze zgiełk skazanego na śmierć miasta.

Biegli jak ścigane zwierzęta, znajdując krótkotrwałe schronienie w licznych zagajnikach, gdzie od czasu do czasu kryli się przed pędzącymi w stronę bramy gromadami dzikusów. Zdawało się, że cała wyspa aż roi się od nich. Wodzowie musieli zebrać wszystkich wojowników w promieniu setek mil, by zaatakować z taką siłą.

Wreszcie przebyli pas lasu i odetchnęli z ulgą wyszedłszy na plażę. Była pusta, jeżeli nie liczyć wielkiej liczby ozdobionych czaszkami wojennych czółen.

Athelstane dysząc ciężko usiadł na piasku.

- Krew Thora! I co teraz? Możemy tylko chować się w tym lesie tak długo, aż dopadną nas te czerwone diabły.

- Pomóż mi zepchnąć tę łódź na wodę – rzucił Turlogh. – Zaryzykujemy i wyjdziemy na otwarte...

- Ha! – Sas zerwał się na równe nogi i wyciągnął rękę. – Krew Thora, statek!

Słońce weszło właśnie i niby złota moneta błyszczało nad horyzontem, a na jego tle wyraźnie odbijała się sylwetka okrętu horyzontem, a na jego tle wyraźnie odbijała się sylwetka okrętu z wysoko wzniesioną rufą. Przyjaciele podbiegli do najbliższego czółna i zepchnęli je na wodę. Wiosłowali jak szaleni, krzyczeli i wymachiwali wiosłami, aby zwrócić na siebie uwagę załogi. Potężne mięśnie pchały wąską łódkę z niezwykłą szybkością i wkrótce statek zatrzymawszy się pozwolił im podплыnąć. Przez reling wychylił się smagły mężczyzna w zbroi.

- Hiszpanie – mruknął Athelstane. – Jeżeli mnie poznają, to lepiej by mi było zostać na wyspie.

Mimo to bez wahania wspiał się po łańcuchu na pokład. Wkrótce stanęli obaj przed szczupłym mężczyzną o poważnej twarzy, w zbroi rycerza Asturii. Odezwał się do nich po hiszpańsku, a Turlogh odpowiedział mu, gdyż jak wielu z jego rasy był urodzonym poliglotą, a podróżował daleko i mówił wieloma językami. W kilku

słowach streścił ich historię i wyjaśnił, skąd wziął się słup dymu wznoszący się z wyspy w poranne niebo.

- Powiedz mu, że jest tam królewski łup do wzięcia – wtrącił Athelstane. – Powiedz o srebrnych wrotach.

Lecz gdy Celt zaczął opisywać czekającą w ginącym mieście cenną zdobycz, dowódca pokręcił głową.

- Szlachetny panie, nie mam dość czasu, aby ją zabezpieczyć, ani dość ludzi, by ich tracić w walce. Te czerwone potwory, które pan opisałeś, z pewnością nic nie oddadzą bez oporu, choćby to było dla nich bezużyteczne. Mój czas i siły nie są moją własnością. Jestem Don Rodrigo del Cortez z Kastylii, a mój okręt, „Franciszkanin”, należy do flotylli, która wyruszyła, by nękać mauretańskich korsarzy. Kilka dni temu podczas potyczki oddzieliliśmy się od eskadry, a burza zepchnęła nas daleko z kursu. Teraz staramy się dołączyć do reszty, jeżeli tylko uda nam się ich odnaleźć. Jeśli nie, to będziemy grabić niewiernych tak dobrze, jak tylko potrafimy. Jesteśmy w służbie Boga i króla i nie możemy się zatrzymywać dla zwykłego śmiecia, jak pan to proponujesz. Witam was jednak serdecznie na pokładzie. Potrzebujemy ludzi zaprawionych w walce, a na takich wyglądacie. Nie będziecie żałować, jeżeli

zdecydujecie się do nas przyłączyć i dla dobra chrześcijaństwa zadać muzułmanom parę ciosów.

W szczupłej, ascetycznej twarzy o głębokich ciemnych oczach i wąskim nosie Turlogh rozpoznał fanatyka, kawalera bez skazy, błędnego rycerza.

- Ten człowiek jest szalony – powiedział do Athelstane'a. – Ale przy nim czekają nas bitwy, które stoczymy, i przedziwne krainy, które będziemy oglądać. Zresztą nie mamy wyboru.

- Dla bezpańskich wojowników i włóczęgów jedno miejsce jest tak samo dobre jak inne – stwierdził potężny Sas. – Powiedz, że pójdziemy za nim do piekła i przypalimy diabłu ogon, jeżeli tylko będzie jakaś szansa na łupy.

4. Imperium

Turlogh i Athelstane, oparci o reling, spoglądali na malejącą szybko Wyspę Bogów. Unosił się z niej słup dymu, ciężkiego duchami z tysiąca stuleci, cieniami i

sekretami zapomnianego imperium. Athelstane zaklął tak, jak tylko Sas potrafi.

- Królewska zdobycz... - powiedział. – I po całej tej rzeźni żadnego łupu!

Turlogh pokręcił głową.

- Widzieliśmy jak upada starożytne królestwo, jak ostatnie resztki najstarszego imperium tego świata giną w ogniu i toną w otchłani zapomnienia, a nad gruzami barbarzyństwo podnosi swój tępy łeb. Tak przemija sława, chwała i cesarska purpura – w czerwonych płomieniach i żółtym dymie.

- Ale żeby nie złupić ani odrobiny... - upierał się wielkolud.

Dalkazjanin znowu pokręcił głową.

- Zabrałem ze sobą najcenniejszy klejnot na wyspie, coś, za co ginęli mężczyźni i kobiety, a krew spływała rynsztokami.

Wydobył zza pasa niewielki przedmiot – przedziwnie rzeźbiony jadeitowi wisior.

- Symbol władzy! – zawołał Athelstane.

- Tak. Kiedy Brunhilda szarpała się ze mną i chciała zatrzymać, żebym nie pobiegł za tobą tajemnym

korytarzem, ten drobiazg zaczepił o moją kolczugę i zerwał się ze złotego łańcucha, na którym wisiał.

- Ten, kto go nosi, jest władcą Bal – Sagoth – zastanowił się potężny Sas. – Tak jak ci mówiłem, Turloghu, jesteś królem!

Dalkazjanin roześmiał się gorzko i wskazał skłębioną kolumnę, daleko na horyzoncie wznoszącą się w niebo.

- Tak, królem królestwa martwych, imperium dymu i upiorów. Jestem Ard – Righiem z widmowego miasta... jestem królem Turloghiem z Bal – Sagoth, a wiatr rozwiewa moje królestwo po porannym niebie. I w tym przypomina ono wszystkie inne imperia tego świata – to tylko sny, duchy i dym.